



Zeszyty TŁUMACKIE



IV KWARTAŁ 1998

ISSN: 1426-4129

Nr 4 (12)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław



Spis treści

Życzenia Świąteczne	1
Błogosław Dzieciątko – wiersz – Jan Johnson	1
Wigilie tułacze – wiersz – Henryk Wilczewski	1
W 80 rocznicę niepodległości ukochanej Ojczyzny – Wolności dzwon – wiersz – Eleonora Kiestrzym	2
Wigilijne skojarzenia – Edward Śniechowski	2
I Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym	
Kronika – Calendarium miasta i powiatu tłumackiego (c.d.) – Michał Nikosiewicz	3
Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.) – ks. Lesław Jeżowski	5
Moje wspomnienia (lata 1934-1939) – Irena Pełech-Ruszel	8
Zajfer i inni – Henryk Wilczewski	11
Z pamiętnika Bronisławy Sokołowskiej z d. Macek – Maria Szelc z d. Sokołowska	12
II Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży	
Jerozolimskie chorągiew ottynijskich żołnierzy – Tadeusz Kukiz	14
III W cieniu białych nocy i czarnych dni	
Wspomnienia Sybiraczki (c.d.) – Leonarda Grenadier-Złotnik	15
IV Tłumacki Holocaust	
Sprawiedliwi prawi – nie Żydzi (c.d.) – Shlomo Blond	17
V Wiadomości z życia tłumaczan	
Przeżyjmy to jeszcze raz (c.d.) – Spotkania i zjazdy Tłumaczan 1945-1995 – Janina Petrus-Duszyńska	18
Nasza wycieczka – Anna Panachida-Bocheńska, Danuta Tabińska-Juhasz	20
Z protokołów posiedzeń Zarządu – Jerzy Czyżycki	23
VI Listy	
List Jana Aleksiejskiego	23
List Tadeusza Pelikana	23
List Henryka Wilczewskiego	24
Zawiadomienia	24
Lista Ofiarodawców w IV kw. 98	24
VII Odeszli	
Nasz słowniczek (c.d.) – Opracowała Helena Bilińska	24
List Tadeusza Pelikana	24
Okładka – obecne centrum Tłumacza od lewej kamienica; od prawej Makucha – ukraińskiego posła do Sejmu II RP	

Redaguje zespół w składzie:

Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta

Redakcja techniczna:

Franciszek Borkowski

Adres Redakcji:

TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław,
ul. Ruska 32/33, I p. Skr. poczt. 1042, Wrocław 3. Tel. 071/44-88-93.
Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki Tłumacza. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Naszym Drogim Czytelni-
kom, Tłumaczanom, Rodakom
na Wschodzie i Zachodzie
Wesołych Świąt
i Szczęśliwego Nowego Roku
1999, dużo zdrowia, uśmie-
chów, zadowolenia, radości
i błogostawieństwa
Nowonarodzonej Dzieciny

życzą
Redakcja Zeszytów Tłumackich
Zarząd Ogólnopolskiego
Oddziału Tłumaczan



Błogosław Dzieciątko

Jan Johnson

Błogosław Dzieciątko śliczne,
Nasze miasta wioski liczne.
Usuń troski, ulżyj ranom,
Błogosław też Tłumaczanom.
Błogosław ten platek chleba,
którym dzielić nam się trzeba.
Wzmocnij wiarę, daj nadzieję,
Wtedy szczęście zajaśnieje.
My Dzieciątku pokłon złożymy
Na wieczność sobie zasłużymy
Nocka już w ciemnościach brodzi
Kolędujemy: Bóg się rodzi...

Wigilie tułacze

Henryk Wilczewski

Leć myśli tęskna na dalekie kresy,
do kraju Ojców skąd wyгнаły wrogi.
Różne nas stamtąd tu przywiodły drogi
i jakże różne były nasze losy.

Jedni przez głodne stepy szli nie ludzkiej ziemi,
krzyżami znacząc szlak wygnañców wszystkich.
Inni na frontach wojny utracili bliskich,
by po trudach tułaczki znów być między swymi.

Wigilii tułaczych też było niemało.
Więc w wieczór Świąteczny, ten w roku jedyny
pragnęli być razem w kręgu swej rodziny.
Jednak jakże często kogoś brakowało.

Mimo, iż różne wigilie bywały,
przy stole zawsze wolne czekało nakrycie
dla tego, co być może wróci – jak marzono skrycie,
choć po nim już tylko wspomnienia zostały.

Nie pomnisz, ile w ziemiance było stopni mrozu.
Stół zbity z desek, ława, słomiana rogoża,
na nim lichy placek z małej garści zboża,
co go Matka skradła ze składu kołchozu.

Nie pomnisz też, że wieczór był parny i duszny
w namiocie szpitalnym, gdzie już ocalony,
słuchałeś kolędy przez kogoś nuconej,
trawiony gorączką, chory na dur brzuszny.

Gdyś przez kraj „dzielnych” Franków trafił do Albionu,
który haniebną zdradą wrogowi cię sprzedał,
Wigilijny wieczór tak pełen goryczy, spokoju ci nie dał,
boć przecież piersią swą bronił Imperium i Tronu.

Czy kazachskie stepy, czy perskie pustynie,
gdzie na poniewierkę skazał wróg przeklęty,
wszędzie, gdzie byś nie był ten wieczór był Święty.
Takim będzie zawsze i wówczas i ninie.

Dzisiaj w domu swoim, w wolnym polskim kraju,
godnie obchodzimy Narodziny Pana.
jak zły sen i gorycz w nasze serce wlna
niechaj szczerze pamięć o tych co zdradzili i sowieckim
raju.

Tylko myśl jedna w sercu się kołacze.
Myśl i wspomnienie o miasteczku małym,
gdzie najpiękniejsze Wigilie bywały,
bo tylko takie mogły być w Tłumaczu.

W 80 rocznicę niepodległości ukochanej Ojczyzny

Wolności dzwon

Eleonora Kiestrzyn

(z tomiku wierszy pt. "Niepokorny czas")

*Jedenastego Listopada uderzył wolności dzwon,
dumny jak pierwsza brygada,
wielkich zwycięstw serenada,
wolnej Polski dzwon.*

*Pod wawelską kryptą śpi,
wolność! wolność! mu się śni,
którą wskrzesił, wywojował
tobie Polsko ofiarował,
start niewoli łyż w wielkiej chwały dni.*

*Jedenastego listopada
zerwał się do lotu ptak
zrzucił z skrzydeł swych okowy,
na szlak ruszył wolny, nowy
biały orzeł, król przestworzy
wolnej Polski znak.*

*Pod wawelską kryptą śpi
horror dzisiaj mu się śni,
orzeł zniżył swoje loty*

*klucz wolności zgubił złoty
skamieniały łyż
po co... było... tyle krwi...*

*Na cmentarzu hen Na Rosie
biała brzoza z lęku drży,
rzuca dziś na wichru fale
zasłyszane serca żale,
serce, które gdzieś zza świata
o wspaniałej Polsce śni.*

*Huczy, wyje wiatr jesienny,
lecą żółte liście z drzew
i całunem kryją ziemię,
co zniewoleń nosi brzemię,
gdzie zastygła w obfitości polskich synów krew.*

*Jedenastego Listopada dziś bije wolności dzwon
Fałszu lęku defilada
farsa, komedia czy zdrada?
A wolności bije dzwon.*

*Chociaż cichnie, choć się żali,
czasem ginie gdzieś w oddali
wiem, że nigdy nie zamilknie,
bo w nas żyje, bo w nas bije serca jego ton.*

Wigilijne skojarzenia

Edward Śniechowski (Anglia)



Akwarela 75 cm x 57 cm. Malarz: Karol Kossak

Urywek z „Chłopów” Reymonta opisujący początek zimy: „... Na świtanie było już śniegu na dobre trzy pięćdzie, do cna przykrył kożuchem ziemię i przestonił świat całą modrawą białnością, a leciał wciąż, bez przestanku. Taka cichość padła na ziemię, że ani jeden powiew nie zadrgał...”

Większość Polaków, którzy nawet mało interesują się malarstwem polskim, słyszało i wie coś niecoś o rodzinie Kossaków, a przede wszystkim o Juliuszu (1824-99) i Wojciechu (1857-1942). Malowali oni akwarele, sceny batalistyczne, konie i pejzaże zimowe, a Wojciech był współtwórcą sławnej na całą Polskę „Panoramy Racławickiej” we Lwowie (obecnie we Wrocławiu). Ale zdaje mi się, że niewiele z naszych rodaków słyszało, czy też spotkało się z

malarstwem Karola Kossaka. Muszę się przyznać, że do takich i ja do niedawna należałem.

Dopiero gdy kilka lat temu ukazało się ogłoszenie w Dzienniku Polskim w rubryce Kupno – Sprzedaż: „Dwie duże akwarele K. Kossaka. Temat: konie... cena...” zacząłem się nim bliżej interesować. Udało mi się uzyskać kilka skromnych danych o tym artyście: – Otóż Karol Kossak malował we Lwowie, był stryjecznym bratem Jerzego Kossaka, syna Wojciecha, prawnukiem Janusza. To wszystko. Prawda że niewiele?

Tu przyszła mi z pomocą Catherine Lucy Czerkawska, pochodzenia polsko-irlandzkiego. Jest dobrze znaną pisarką angielską i pracuje obecnie nad polską trylogią powieściową opartą na historii rodziny jej ojca. Malarz Karol Kossak był jej „great uncle”. Gdy dowiedziałem się o tym, napisałem do niej list, załączając równocześnie zdjęcie akwareli tego artysty z naszej kolekcji. Odpowiedź przyszła szybko. A oto co pisze Pani Lucy Czerkawska o swoim stryjcznym dziadku:

Drogi Panie Śniechowski,

Serdecznie Panu dziękuję za przysłane mi zdjęcie obrazu Karola Kossaka. Czyż nie jest to naprawdę piękne malowidło? Miałam to szczęście, że widziałam się jeszcze z moim stryjcznym dziadkiem przed jego śmiercią; miał wtedy dobrze ponad siedemdziesiąt lat (było to w połowie lat 1970-tych) i mieszkał z moją stryjczną babką Wandą w Ciechoćniku, małym miasteczku uzdrowiskowym. Był przemiłym człowiekiem i stał się moim ukochanym stryjem. Z pewnych względów przypominał mi Daniła z „Wesołej Wdówki”! Był wysoki, elegancki i trzymał się prosto – a wciąż jeszcze malował i szkicował. Pisząc to mam na widoku trzy jego obrazy wiszące na ścianie mego pokoju, które namalował specjalnie dla mnie. Wciąż jeszcze był człowiekiem energicznym i stale był czymś zajęty – albo malował, albo grał na pianinie, albo spacerował po miasteczku. Wszyscy doróż-

karze zawsze mu się klaniali. Czasem potrafił reagować bardzo gwałtownie. Pamiętam, jak nienawidził motocykli i na ulicy „strzelał” do nich ze swojej laski. Okrucieństwo wobec zwierząt, a szczególnie wobec koni, wprawiało go we wściekłość. Był on jak echo dawnego, innego świata, i choć znałam go krótko, to zdążyłam go bardzo pokochać. Sądzę, że jeżeli ma Pan jakiś z jego obrazów i podoba się Panu jego malarstwo, to te szczegóły mogą Pana zainteresować.

Ciekawa jestem czy ma Pan jakieś wspomnienia z Polski, które mogłyby mi pomóc w mojej pracy pisarskiej? Jak chyba wspomniałam, pracuję nad powieścią obejmującą okres od 1880 roku do drugiej wojny światowej. Dopiero teraz – kiedy już jestem zamężna i mam małego syna – poczułam, że osiągnęłam wystarczającą dojrzałość jako osoba i pisarka żeby się podjąć takiego dzieła; dotąd moja praca była poświęcona radiu i teatrowi telewizji. Czas jednak mija, a z nim odchodzą moi potencjalni informatorzy tacy jak mój stryjeczny dziadek. Interesują mnie małe szczegóły z codziennego domowego życia. Jeżeli mógłby mi Pan w tym pomóc, to bardzo proszę do mnie napisać.

Jeszcze raz dziękuję za zdjęcie; miło jest wiedzieć, że mój stryjeczny dziadek jest po śmierci doceniany.

Katarzyna Czerkawska

Jak piękną sylwetkę tego artysty nakreśla nam autorka listu, nie tylko jako malarza, ale też jako człowieka, przybli-

ża go do nas i wiemy o nim dużo więcej aniżeli z suchego opisu biograficznego.

Obecnie obraz Karola Kossaka zdobi jedną ścianę naszego salonu. Miałem trochę kłopotu z umieszczeniem tej dość dużej akwareli, bo ani szkoła, ani temat nie zgadzały się specjalnie z innymi obrazami w salonie, bo to przeważnie dzieła z XVI i XVII w. starych mistrzów włoskich, jak Święta Rodzina czy też Judyta ze świątą głową Holkofernesa ze Starego Testamentu.

Tak, to zupełnie coś innego, ale za to ile radości daje ta akwarela! To takie nasze, polskie, powiedziałbym kresowe. Pola pokryte puszystym śniegiem, konie ciągnące sanie...

Siadam na kanapie naprzeciw i wyobraźnia zaczyna działać. Zacierają się granice państw, czasu i nagle jestem znowu na naszym kochanym Podolu. Wracam myślami do mojej młodości, do mego domu, do szkoły, do której w zimie kilometrami brnąłem po śniegu. Widzę mego ojca krzątającego się przy saniach... Nie wiem, czy mnie się zdaje, ale czasami jakby po kryjomu, Madonna z florenckiego obrazu z przeciwnej ściany, też spogląda na ten polski pejzaż zimowy, bo i Ona przypomina sobie jak ponad pół wieku temu, wierny lud podolski ciągnął całą gromadą przez te śniegi, w mroźną, gwiazdzistą noc wigilijną do najbliższego kościoła, aby pokłonić się Jej Nowo Narodzonej Dziecinie.

Wspomnienia... wspomnienia... □

Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Kronika – Calendarium miasta i powiatu tłumackiego (c.d.)

Michał Nikosiewicz

Rok 1937

10 I. Członkowie „Rodziny Policijnej” urządzili zbiórke uliczną na pomoc dla ubogich. Zebrano 650 zł i dary.

3 II. Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet zorganizował kuchnię dla ubogich.

12 II. Walne Zgromadzenie Tow. Gimnastycznego „Sokół”. Prezesem jest E. Deyczakowski, v-prezesem M. Molisak, naczelnikiem J. Hrapkowicz. W Tłumaczu „Sokół” liczy 87 druhow i 52 druhen.

20 II. Wystawa przemysłu ludowego, wyroby z lnu i konopii, koronki rzeźby, hafty, futra.

24 II. W związku z powstaniem Obozu Zjednoczenia Narodowego (OZN) wysłano z Tłumacza do płk. Koca pismo o następującej treści: „Witamy z głęboką radością fakt powstania Obozu Zjednoczenia Narodowego”. Na zachowanej reprodukcji tego pisma widnieją liczne podpisy tłumackich organizacji i stowarzyszeń oraz 29 pieczęci okrągłych i 8 podłużnych.

28 II. Okręgowe Towarzystwo Rolnicze urządziło w Tłumaczu 2-dniowy kurs hodowli trzody chlewnej. Kurs prowadzili: lek. wet. R. Bojczuk, agronom pow. Proczkowski i inspektor Ludowej Izby Rolnej – Biłyk.

2 II. W powiecie powstało 11 nowych czytelni TSLu.

W Tarnowicy Polnej prowadzone są poszukiwania nafty.

Zjazd delegatów Ligi Powietrznej i Przeciwigazowej (LOPP). W powiecie jest 14 kół.

3 IV. W Tłumaczu otwarto „Kasyno Strzeleckie”.

Powiatowy Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet razem z Komitetem Pomocy Zimowej Bezrobotnym urządził w Tłumaczu i w siedmiu innych miejscowościach powiatu „Święcone” dla dzieci i rodzin bezrobotnych.

30 IV. W powiecie tłumackim przeprowadzono inspekcję akcji dożywiania dzieci i stanu opieki społecznej (dr Borkowski).

Do Tłumacza przeniesiony został notariusz M. Grabowiecki.

20 VIII. Koło Hodowców w Tłumaczu urządziło pokaz koni, jazdy konnej oraz konkurs skoków. Prezesem Okrg. Towarzystwa Rolniczego jest Andrzej Jakubowicz.

Nad stawem odbył się festyn, którego organizatorem była Liga Morska i Kolonialna. M. in. pływano na łodziach i kajakach.

Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet wspólnie z TSL zorganizował 36 pół-kolonii letnich dla dziatwy szkolnej i przedszkolnej.

W powiecie eksploatuje się złoża gipsowe i wapienne.

Okręgowe Towarzystwo Rolnicze w powiecie tłumackim ma: 30 Kółek Rolniczych, 16 sklepów, 5 spółdzielni mleczarskich, 24 stacje śmietankowe. Przy Kólkach istnieją czytelnie.

W czasie wakacji strzelcy i harcerze wyjechali do Ludwikówki i Pasiecznej.

Państwowe Gimnazjum i Liceum nr 602 w Tłumaczu posiada klasy: gimnazjalne od I-IV, licealną I kl. oraz VIII klasę gimnazjalną starego typu.

W powiecie tłumackim są 93 szkoły. 10 szkół – 7-klasowych; 36 szkół – 5 i 4 klasowych; 20 szkół – 3 klasowych oraz 27 szkół – 1 klasowych.

W mieście buduje się stadion sportowy i strzelnicę małokalibrową.

Tłumacz posiada: Ośrodek Zdrowia, Poradnię Przeciwgruźliczą, Stację Opieki nad Matką i Dzieckiem.

Powstała organizacja wiejska OZN, przewodniczący – Leon Seidler.

12 IX. Starostą w Tłumaczu mianowany został dr Józef Kaleta.

W powiecie tłumackim nie zgłosiło się do poboru 11 osób.

Wizytatorem gimnazjalnym jest Władysław Dajewski, a szkół powszechnych Stefan Halibej.

Katecheta szkoły powszechnej ks. Malski przeniesiony został do Przemysła.

Spensjonowane zostały nauczycielki: Maria Skowrońska i Olga Grabowiecka.

Przy Związku Strzeleckim zorganizowano „Hufiec Orląt”, który prowadzi Janina Mytnikówna.

Rok 1938

W Tłumaczu znajduje się Powiatowy Zarząd Szlachty Zagrodowej. Najwięcej szlachty zagrodowej jest w Tłumaczu, Otyunii¹⁾, Niżniowie, Bohorodczynie, Chocimierzu i Hryniowcach.

Katechetą w szkole powszechnej w Tłumaczu został ks. Tadeusz Rojek.

Prywatne Seminarium Nauczycielskie Żeńskie uległo likwidacji. Siostry zakonne de Notre Dame prowadzą internat dla uczennic gimnazjum.

W Tłumaczu praktykują lekarze, b. absolwenci gimnazjum tłumackiego: dr Włodzimierz Prokopów i dr Józef Haber, a w Stanisławowie dr Adam Gawenda i dr Izidor Urman. Medycynę ukończyło lub kończy około 25 absolwentów.

Kierownikiem Publicznej Szkoły Doksztalającej Zawodowej w Tłumaczu jest Michał Dębiec.

W Miłwaniu jest ukraińska szkoła prywatna przysposobienia rolniczego z językiem wykładowym ukraińskim, prowadzona przez Towarzystwo „Proświta”.

W powiecie prowadzone są tzw. „kursy wędrownie” dla gospodyń wiejskich.

Zlot Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” został odwołany.

W miejscowości Grabiec powstał nowy kościół. W Zagórzcu Polskim kościół jest w budowie.

Stypendium samorządowe dla dzieci rolników na studia akademickie, opłacane przez gminę, wynosi rocznie 276 zł.

10 II. W Tłumaczu odbył się Walny Zjazd OZN (Obóz Zjednoczenia Narodowego) – obecnych 600 osób.

20 II. Związek Strzelecki organizuje półkolonie dla „Orląt”, a w Roźniatowie kolonie dla dzieci zagrożonych wynarodowieniem.

Na Pilawszczyźnie powstała czytelnia TSLu.

13 III. Walne zebranie „Gniazda” szlachty zagrodowej prowadził instr. Tadeusz Sawicki.

Objazdowy teatr ze Stanisławowa (dyr. Z. Łozińska) dał dwa przedstawienia w sali Sokoła. Po południu wystawiono „Zemstę” Fredry, a wieczorem „Tajemnicę lekarską”.

W Oknianach, Pszenicznikach i Jackówce zradiofonizowano świetlice.

Podczas obchodów 3 majowych w Tłumaczu zostali odznaczeni Srebrnym Krzyżem Zasługi: Józef Gabański, Marian Lubomir Szankowski, Stanisław Papiz, Eugeniusz Chrzanowski, Matylda Wrońska, Filip Wolański.

Prezesem OZN – obwód Tłumacz jest Leon Seidler, sekretarzem Józef Hankiewicz.

Święto Związku Młodej Wsi.

Na stadionie i w parku zebrało się 450 młodzieży z powiatu. Po nabożeństwie odbyło się poświęcenie sztandaru (Orzeł biały, kłosa i snopy, ryndgraf z Matką Boską). Później była defilada, pokazy artystyczne, a zespół dramatyczny Zw. Młodej Wsi z Otyunii odegrał sztukę „Karpaccy górale”.

Za zruszczanie polskich nazwisk odpowiadał przed sądem proboszcz gr.-kat. w Oleszowie ks. Włodzimierz Koropecki.

W Sokole odbył się konkurs pieśni chórów ludowych. Wystąpiło pięć zespołów reprezentujących: Lackie Szlacheckie, Nadorożną, Tarnawicę Polną, Odaje i Krzywotuły Nowe.

28-29 V. Walny Zjazd Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet. Związek posiada w powiecie tłumackim 14 Oddziałów. Wybrano Zarząd. Przewodniczącą została Maria Jeżowska. Do Zarządu weszły: Maria Kasperek, Janina Dulebina, Janina Tuzinkiewicz. Do Zarządu Oddziału Tłumackiego weszli: Zdzisława Seidlerowa (przewodnicząca) oraz Olejnicka, Burczyńska, Wiszniewska, Hillowa, Kłonowska, Wrońska.

W Tarnowicy Polnej uroczystość obchodzono 50-lecie Ochotniczej Straży Pożarnej. Poświęcono sztandar, odsłonięto tablicę pamiątkową.

3 IX. W Hostowie poświęcono remizę Ochotniczej Straży Pożarnej. Po nabożeństwie odbyła się defilada, później wspólny obiad, festyn i zabawa ludowa. W tej miejscowości jest chór, kółko dramatyczne, czytelnia TSLu, Związek Strzelecki, Koło Gospodyń Wiejskich, Spółdzielnia Strzelecka.

Towarzystwo Łowieckie istnieje w Tłumaczu, Tyśmienicy, Otyunii.

Medale za długoletnią służbę państwową otrzymali: dyr. gimnazjum Ksawery Bułkowski, profesorowie: ks. dr Mikołaj Witkowski, Walerian Ehrlich, Stanisław Rzerzycha, Stanisław Dąbek, Józef Hrapkiewicz, Fabian Urman oraz woźny Jan Mostowiak.

Starostą powiatowym w Tłumaczu jest Józef Kaleta. Burmistrzami miast są: Tłumacza – Leon Seidler; Tyśmienicy – Kazimierz Schreiber; Otyni – Emeryk Bauknecht. Wójtami gmin są: w Chocimierzu – Sypan; Markowcach – Knihinicki; Niżniowie – Lityński; Oleszy – Mruk; Oleszowie – Panachida; Roszniowie – Panachija; Tarnowicy Polnej – Knihinicki; Tłumacz-wieś – Koczan; Otynia – Ryskalczuk.

Rada Powiatowa w Tłumaczu uchwaliła elektryfikację miasteczek powiatu, a następnie wiosek. W związku z tym przystąpiono do Międzykomunalnego Zw. Energetycznego w Stanisławowie.

Postanowiono zakupić dla miasta 3-piętrowy budynek od banku Spółdzielczego. Znajdzie tam pomieszczenie gimnazjum i liceum oraz biura Zarządu Miejskiego.

2 X. Manifestacja w sprawie Zaolzia. Do publiczności zgromadzonej w sali Sokoła przemawiał burmistrz L. Seidler.

23 X. W Lackiem Szlacheckim ożywioną działalność prowadzi Koło Szlachty Zagrodowej: Teofil Łucki, Ferdynand i Klementyna Studziński, Maria Lubieniecka, Władysław Ładomirski, Adam Stachiewicz, Stanisława Hołyńska, Michał Hołyński, Marcin Jaworski.

TSL patronuje budowie Domów Ludowych w: Horyhladach, Lackiem Szlacheckim, Otyunii, Oknianach, Trojanach, Jezierzach i Bohorodczynie.

Osadę „Polską Wolę” (leży między Otyunią a Markowcami) zamieszkuje ludność pochodząca z okolic Krakowa i Rzeszowa. W osadzie tej działa Związek Strzelecki, jest czytelnia TSLu,

Straż Pożarna, Kółko Rolnicze. Dnia 20 XI odbyło się tam poświęcenie krzyża „Pamięci poległych Legionistów”.

11 XI. Z okazji Święta Niepodległości odprawiono nabożeństwo i złożono wieńce pod pomnikiem Bohaterów Walk o Niepodległość na placu Mickiewicza.

4 XII. Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” urządziło „Wieczór Kościuszkowski” i uroczystości rocznicowe z okazji XX-lecia „Obrony Lwowa”. Przemawiał prof. Michał Kędzior.

18 XII. W sanatorium koło Lwowa zmarł profesor tłumackiego gimnazjum Walerian Ehrlich.

Zmarł Edmund Gracjan Deliwa Deyczakowski ur. 1873 r. Człowiek wielce zasłużony dla Tłumacza. Prezes Tow. Gimn. „Sokół”. Członek wielu organizacji politycznych i społecznych.

Rok 1939

W spisie lekarzy na rok 1939, z Tłumacza wymienieni są: Ada Feuermanowa, Józef Haber, Kazimierz Leśniakiewicz, Włodzimierz Prokopów, Józef Kłodnicki, Edward Trandler, Mendel Koppelman, Abo Doller (dentysta). Położne: Aniela Płachta, Sara Lea Spigler, Maria Kołkowska.

Wikarym w parafii łacińskiej został ks. Stanisław Kuchta (ur. 1895 r.).

Dyrektor szkoły powszechnej męskiej w Tłumaczu H. Ziarkiewicz został przeniesiony do Stanisławowa (Kierownikiem szkoły jest Michał Dębiec – red.).

W Tłumaczu odbyły się wybory do Rady Miejskiej. Na 16 mandatów Polacy otrzymali 11, Rusini – 1, Żydzi – 4. Przebieg wyborów był spokojny.

W nr 3 „Sokoła Małopolskiego” ukazało się pośmiertne wspomnienie o ś. p. Edmundzie Deyczakowskim, zasłużonym działaczu społecznym z Tłumacza.

Prof. Stanisław Rzerzycha został wiceprzewodniczącym OZN w Tłumaczu.

W Tłumaczu odbył się mecz piłki nożnej między „Admirą” – Stanisławów, a „Strzelcem” – Tłumacz. Wynik 2:0.

Z końcem stycznia został zamordowany w Olszanicy poborca skarbowy z Tłumacza Józef Petrus. Wyznaczono nagrodę 500 zł za ujawnienie sprawcy.

6 VIII. W niedzielę rozegrany został mecz piłki nożnej między „Hasmoneą” – Stanisławów, a „Strzelcem” – Tłumacz o wejście do klasy B zakończony wynikiem 1:1. Po meczu doszło do awantury i poturbowania zawodników „Hasmonei”.

Starosta powiatowy w Tłumaczu zawiesił działalność czytelnicy „Proświty”, „Ridnoi Szkoły”, „Łuhu”, „Kameniariv” i „Krużka Siłskoho Gospodara” w Woronie.

Od autora:

W dostępnych materiałach źródłowych jest bardzo mało wiadomości dotyczących Tłumacza i powiatu z ostatniego okresu przed wybuchem II wojny światowej.

W tym okresie polskość na Kresach Wschodnich jakby okrzepła. Organizacje polityczne, społeczne, para-militarne, kulturalno-oświatowe, rolnicze i sportowe organizują Polaków, starają się skupić wszystkich i usiłują pozyskać nawet tych, którzy mówią po ukraińsku, ale czują się Polakami.

Również Ukraińcy starają się rozbudzić uczucia narodowe (nacionalistyczne). Powstaje coraz więcej organizacji, w których pielęgnuje się i rozbudza nastroje antypolskie. Nadchodził wrzesień 1939 roku...

1) Od Redakcji:

Jak zapewne zauważyli nasi Czytelnicy, nazwę miejscowości Otynia raz piszemy przez jedno t, innym razem przez dwa tt – Otynia. Piszemy tak jak jest w nadesłanych tekstach. Na poszczególnych mapach nazwa miasta jest podawana również w dwóch wersjach.

Podobny problem mamy również z nazwą Tarnawica Polna, która czasem na mapach figuruje jako Tarnowica Polna. Może ktoś z Czytelników wyjaśni tę zagadkę. □

Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.)

Ks. Lesław Jeżowski

Mniej więcej naprzeciw Andrusiewicza miał piętrową kamienicę p. Ruczkowski. Zdaje się, był on właścicielem cegielni, a na pewno jakiś czas zastępcą burmistrza, po Schwefelgeiście. Być może mieszkał na parterze. Jego syn, dosyć ciężko wysławiający się, uczęszczał do gimnazjum, podobnie jak Andrusiewicz, wyżej ode mnie.

Piętro zajmowała p. Maria Szankowska, która po śmierci męża na początku lat trzydziestych, przeprowadziła się tutaj z budynku Sokoła, a mieszkanie po niej przejęło Starostwo, bardzo dotąd ograniczone lokalowo. Była z pochodzenia Morawianką. Zawsze podkreślała, że nie jest Czeszką. Mimo wielu lat spędzonych w Polsce, nie potrafiła właściwie wymówić spółgłoski – ł, nie znanej w czeskim alfabecie. Szczupła, wysoka, gładko czesząca się na boki z rozdziałem pośrodku głowy, prezentowała się nobliwie, zwłaszcza w czerni, której po śmierci męża przeważnie używała w ubiorze. Poznała go na Morawach, gdy podczas I wojny światowej znalazł się tam ewakuowany przez Austriaków z Tłumacza. Zdaje się, że wtedy wykonywała zawód pielęgniarki. Szankowscy mieli dwóch synów: Lubomira, lekarza weterynarii, który wraz z rodziną mieszkał prawdopodobnie w Brodach i Mariana, magistrą farmacji, który przejął po ojcu aptekę tłumacką, oraz jedną córkę, chyba Marię, bo

matka nazywała ją – Mima. Wraz z mężem, Leśniakiem, pochodzącym spod Nowego Sącza, nauczycielem gimnazjalnym, mieszkała we Lwowie. Leśniakowie mieli troje dzieci, dwie dziewczynki i jednego chłopca.

Mieszkając u Ruczkowskiego, p. Szankowska trzymała służącą i do cięższych prac zatrudniała raz czy dwa w tygodniu młodego mieszkańca pobliskiej Pilawszczyzny. Trzy-pokojowe mieszkanie z kuchnią było odpowiednio urządzone. W pokoju na wprost drzwi wisiał duży portret dobrego pędzla przedstawiający teścia p. Szankowskiej również tłumackiego aptekarza.

Ona sama, świetna gospodyni, chętnie używała swoich kulinarnych przepisów znajomym paniom. Moja Mama sporo ich zachowała. Niektóre były niezwykle. Np. kwiaty akacji smażono w cieście. Jako wdowa, raczej nie bywała już w zaprzyjaźnionych domach, ale sama podejmowała bliskich znajomych, szczerze ciesząc się ich obecnością. W swoje imieniny, 25 marca, wydawała wystawną kolację.

Jako uczeń gimnazjalny, bardzo często bywałem u p. Szankowskiej, przynosząc jej, po przeczytaniu przez mojego Ojca, Ilustrowany Kurier Codzienny i posiadane przez Niego czasopisma. P. Szankowska chętnie zatrzymywała mnie na dłuższe rozmowy. Interesowała się wieloma zagadnieniami

mi, nie wyłączając polityki i gospodarki. Dobrze znała literaturę polską i obcą, stale czytała książki. Posiadała kryształkowy odbiornik radiowy na słuchawki, Detefon, normalne radio było jeszcze w Tłumaczu rzadkością. Ze swojego Detefonu stale korzystała, słuchając przede wszystkim muzyki i audycji literackich. Wiele korzystałem ze swoich pobytów u starszej pani, poszerzały się moje zainteresowania, powiększały wiadomości. Niekiedy próbowaliśmy konwersacji w języku niemieckim, ale tu okazywałem się marnym partnerem.

Lepszym bywałem przy grze w remi-bridż, której mnie ta pani nauczyła. U niej też poznałem kilka pasjansów, którymi niekiedy zapełniała swoje samotne godziny.

Widocznie dochody z apteki zaczęły maleć, bo p. Marian zaprzestał opłacania matce odrębnego mieszkania i zaproponował w 1937 r. sprowadzenie się do niego. P. Szankowska z trudem i żalem musiała się na to zgodzić. U syna była dosyć ograniczona w swobodzie poruszania się, bo jego mieszkanie nad lokalem aptecznym nie należało do zbyt obszernych. Jej wolny czas skurczył się, bo musiała częściowo prowadzić gospodarstwo domowe dla całej rodziny.

Z kamienicą Ruczkowskiego łączyła się następna, bodajże należąca do Spiegła, który na parterze miał wyszynk wraz z bufetem. Chyba też mieszkał tam jego krewny, Spund. Z synem Spunda chodziłem do jednej klasy. Ale on, po kilku latach nauki, zrezygnował z dalszej. Piętro zajmował lekarz powiatowy, Leśniakiewicz. Pochodził z Limanowej, a ożenił się ze stanisławowianką, p. Darią Gocką. On tegi, ona wysoka, szczupła, blada z rozpuszczonymi ciemnymi włosami. Mieli jedno dziecko, chłopca, który urodził się w Tłumaczu. Ojciec nazywał go z góralska – Janosik. Ponieważ w Tłumaczu było tylko kilku lekarzy, Leśniakiewicz, obok swojej głównej funkcji, zajmował się też zdrowiem młodzieży szkolnej i członków organizacji społecznych.

Prywatnym pacjentem doktora Leśniakiewicza stałem się tylko raz, i to w samo Boże Narodzenie. Jedząc podczas świątecznego obiadu rybę, wbiłem sobie w gardło jej ość. Domowe sposoby wydobycia jej stamtąd zawiodły. Wobec tego Rodzice wysłali mnie do p. Leśniakiewicza, który mnie dobrze znał. Miał u siebie krewnych żony, jej ojca i wujka, który z twarzy przypominał polskiego szlachcica z ilustracji Andriollego do „Pana Tadeusza”. Sympatyczny, zupełnie siwy, z sumiastym wąsem. Wszyscy siedzieli jeszcze przy stole, ale lekarz przerwał posiłek, w gabinecie zajął się mną i sprawnie wyciągnął odpowiednim instrumentem nieszczęsną ość. Zauważył, że dobrze zrobiłem przychodząc do niego, bo gardło krwawiło, w nocy mógłby się wytworzyć w nim skrzep uniemożliwiający oddychanie.

Jeden kawalerski pokój na parterze, z osobnym wejściem, w kamienicy Spiegła zajmował w drugiej połowie lat 30, p. Władysław Sroka, powiatowy instruktor pożarnictwa, który przyjechał do Tłumacza ze Lwowa. Dosyć niski, krępej budowy ciała, łysawy chodził przeważnie w mundurze strażackim i w butach z cholewami. Lubił sport i wdrażał do niego członków Ochotniczej Straży Pożarnej, których instruował. Na początku 1938 r. przeniósł się do Stryja, gdzie został naczelnikiem miejskiej, zawodowej Straży Pożarnej. W 1939 r. zawarł związek małżeński z Zofią Stępniewską, kierowniczką szkoły powszechnej na Pilawszczyźnie koło Tłumacza. Poprzednikiem Sroki w Tłumaczu był p. Swietlik.

Znowu jesteśmy na ulicy Trzeciego Maja, do której bokiem dochodziła narożna kamienica Spiegła. W tej jej czę-

ści znajdowały się lokale sklepowe. Miał tam sprzedaż słodyczy Knoll. Jeszcze młody, niski liczył na klientelę z pobliskiego gimnazjum, która rzeczywiście podczas przerw między lekcjami dokonywała u niego zakupów. Stąd też p. Knoll był wśród uczniów popularny, a z powodu swej słabej polszczyzny stanowił obiekt ich dowcipów. Pewnego dnia, gdy sklepik był nieczynny, ułożyli oni wierszyk wyjaśniający tego przyczynę: Z powodu chrzcina mojego syna sklepa zamknięta na dwa godzina. A właśnie Knollowi urodziło się dziecko.

Podobnych, małych, słabo zaopatrzonych sklepików żydowskich znajdowało się w Tłumaczu sporo. Ich właściciele prawdopodobnie ledwie wegetowali. Ale gdzieś w połowie okresu międzywojennego stan ten uległ szybkiej i zasadniczej zmianie. Jakiś międzynarodowy fundusz żydowski dla poparcia drobnych handlarzy udzielił im znacznej zapomogi, która umożliwiła sklepikarzom przysłowiowe postawienie się na nogi. Do nich należał i Knoll. Sklep otrzymał porządne wyposażenie wnętrza, nowe półki, ladę, oszklone witryny, stolik i krzesła dla chcących na miejscu wypić jakiś napój gazowany. Dawniej miał skromny wybór słodyczy, teraz oferował wszelkie możliwe, produkowane przez znane wytwórnie.

Zdaje się, że za jakiś czas Knoll przeniósł się gdzie indziej, bo w wymienionej kamienicy pamiętam inny sklep, też z wyrobami cukierniczymi, należący do drugiego woźnego Starostwa, Kłopotowskiego. Sprzedawały w nim jego córki, czy młode krewnie, i dzięki temu w sklepie nie brakowało trochę starszej młodzieży, ale ta nie pachniała groszem. Sklep był pod każdym względem skromniejszy od Knolla. O ile się nie mylę, po krótkiej działalności przestał istnieć.

Do kamienicy z tymi sklepami wchodziło się od tyłu i tamtędy do swego mieszkania udawała się p. Piotrowiczowa, akuszerka. Niska, odznaczała się niezwykle rozłożystością bioder. Złośliwiec powiedziałby przesadzając, że była szersza niż wyższa. P. Piotrowiczowa niezmiennie nosiła głęboki kapelusz przypominający garnek. Nigdy nie widziałem jej w towarzystwie męża. Widocznie już nie żył.

Teraz dochodzimy już nie do normalnego, mieszkalnego domu, ale do drewnianego baraku, w którym mieścił się zakład fotograficzny. Jego właściciele zmieniali się. Należeli do nich R. Sch<a>r na początku lat trzydziestych, potem Rapała ze Stanisławowa i wreszcie przed wojną Wasik. Podobno nazywał się właściwie Wąsik, ale zukrainizowawszy się, zruszczył też swoje nazwisko. Jako jedyny, a później jeden z dwóch w Tłumaczu fotografów, ale korzystniej umiejscowiony, nie mógł się uskarżać na brak klientów. Chociaż przed wojną, gdy mało kto z niezatrudnionych w urzędach i przedsiębiorstwach miejskich posiadał dowód osobisty, tym bardziej paszport, robienie sobie zdjęć nie należało do zjawisk powszechnych. Zamawiano je przeważnie do legitymacji szkolnych, żniwek kolejowych, nie mówiąc o fotografiach okolicznościowych z okazji ślubów, I Komunii św. itp.

Barak fotografa leżał już na dużym podwórzu Sokoła. Na nim odbywały się zbiórki harcerskie, organizacji Strzelca, spotkania i odprawy związków działających w samym Tłumaczu i w powiecie, mniejsze imprezy sportowe.

I wreszcie znajdujemy się ponownie przy narożnym budynku Sokoła łączącym ulicę Trzeciego Maja ze Słowackiego. Przypominanie jego pomieszczeń zaczniemy od suterenu. Były one obszerne i niezbyt wgłębione w ziemię, co uspra-

wiedliwiałyby nazwanie ich raczej niskim parterem. Prowadziły do nich dwa wejścia. Pierwsze przez bramę do Starostwa, drugie od strony podwórza. Gdy korzystało się z tego pierwszego, z korytarza parteru trzeba było zejść schodami wiodącymi na prawo. Doprowadzały one do przejścia, już w suterenie, po którego bokach widniały drzwi do kilku pomieszczeń. Te od strony wschodniej należały do hufca harcerskiego młodzieży gimnazjalnej. W początkach lat trzydziestych istniała tylko drużyna męska, ale po wprowadzeniu koedukacji dołączyła do niej drużyna żeńska. Do harcerstwa należała większość uczniów. Jego opiekunem z ramienia grona pedagogicznego był profesor Dąbek, a prezesem Koła Przyjaciół Harcerzy mój Ojciec. Swoje zajęcia harcerze prowadzili we własnym lokalu, a ćwiczyli na podwórzu.

Sądzę, że przy pomieszczeniach harcerzy znajdowała się tu również izba organizacji Strzelca. Jej członkowie przeprowadzali pod kierunkiem p. Chrzanowskiego musztrę także na podwórzu.

W zachodniej części niskiego parteru pracował w swoim zakładzie stolarskim p. Riesler, dobry fachowiec i dobry Polak, którego brat był urzędnikiem Starostwa.

Cały parter wypełniały biura Starostwa oraz, o ile się nie mylę, jakiejś organizacji. Pomieszczenie biurowe mające drzwi prowadzące do sali Sokoła, podczas odbywających się w niej zabaw karnawałowych zamieniało się w bufet dla ich uczestników.

Na pierwszym piętrze, oprócz dalszych pomieszczeń Starostwa, do początku lat trzydziestych znajdowało się mieszkanie p. Szankowskiego, burmistrza, które po jego śmierci przejęło Starostwo, o czym była już mowa. Tu w swoich gabinetach urzędowali starosta i wicestarosta, a w pozostałych pokojach po kilku urzędników. Wszystkich zatrudnionych w tłumackim Starostwie było na początku lat trzydziestych około dziesięciu. Potem ich liczba zwiększyła się do mniej więcej piętnastu. Nazwiska niektórych z nich: Filip Wolanski, Czaplinski, Łukasiewicz, Riesler, Mruk, Seidler, Papiz (następca Seidlera w referacie spraw wojskowych), Misiecki, Kasparkówna, Sauerówna. O pozostałych napisałem w innych miejscach, zatrzymując się przy domach, w których mieszkali.

Budynek Sokoła miał jeszcze nad pierwszym piętrem mansandrę, którą zajmowała Sodalicja Mariańska uczniów gimnazjum. Te pomieszczenia pozostawały pod bezpośrednią opieką ks. Witkowskiego, moderatora Sodalicji, który bardzo się troszczył o ich wyposażenie. Lokal Sodalicji stanowiły kaplica, aula i biblioteka. Rozmiary kaplicy nie były duże i brakowało w niej miejsca podczas nabożeństw dla wszystkich sodalistów. Nad mensą ołtarzową, w głębokiej, oszklonej ramie, wisiał sztandar gimnazjalny z wyhaftowanym na białym tle wizerunkiem M. B. Częstochowskiej. Sztandar ten wyjmowało się na uroczystości państwowe, przytwierdzało do drzewca i chorąży gimnazjum niósł go na czele pochodu uczniów. Później wracał na swoje miejsce w kaplicy.

Pod mensą ołtarzową widniał podłużny obraz, kopia rzeźby Maderny przedstawiającej św. Cecylię bezpośrednio po jej męczeńskiej śmierci. Ponieważ ks. Witkowski bardzo lubił tę rzeźbę, zamówił jej reprodukcję u uzdolnionej malarzki-amatorki, Zofii Kapanowskiej, wówczas jeszcze uczennicy Seminarium, o której już pisałem, i dał ją do kaplicy. W pewnej odległości od ołtarza stały nie stykające się ze sobą dwa szerokie klęczniki sporządzone z jasnego, twardego drewna, pokryte politurą. One tworzyły zamknięcie jakby prezbiterium kaplicznego. W lewej ścianie pozo-

stałej części kaplicy, nawiązującej do nawy, było okno wychodzące na wschód, na podwórze budynku. Naprzeciw okna, na prawej ścianie wisiała duża, oprawna w srebrne ramy, fotografia obrazu bł. Kingi znajdującego się w klasztorze Klarysek w Starym Sączu.

Największą uroczystością, jaka odbywała się corocznie w kaplicy, było przyjmowanie do Sodalicji nowych członków po odbytej aspiranturze i kandydaturze, którego dokonywał ks. Moderator, odbierając od sodalisów przyrzeczenie i wręczając im dyplomy oraz odznaki. Miało to miejsce zwykle 8 grudnia. Poza tym gromadziliśmy się w kaplicy z okazji świąt maryjnych i przy każdym zebraniu.

Najmniejsze z trzech pomieszczeń zajmowała biblioteka. Oświetlało ją okno w częściowo ukośnym suficie, które przebijało dach. Pod nim, we wgłębieniu południowej ściany, znajdowały się w całej jej długości półki z książkami zamykane trzema zasuwanymi, oszklonymi drzwiami. Księgozbiór sodalicyjny był dosyć obfity, obejmował wydawnictwa o treści przeważnie religijnej. Mogli z niego korzystać wszyscy gimnazjaliści, nie tylko należący do Sodalicji. Większe wydawnictwa katolickie w kraju, jak Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu, OO. Jezuitów w Krakowie, przy zakupie książek udzielały Sodalicjom dużego rabatu, a nawet ofiarowywały swoje książki bezpłatnie. Oprócz książek, biblioteka gromadziła katolickie czasopisma, a zwłaszcza miesięcznik „Spod znaku Maryi” redagowany w Zakopanem przez krajowego moderatora Sodalicji młodzieży męskiej, ks. Winkowskiego. To czasopismo prenumerowało też za pośrednictwem ks. Witkowskiego wielu tłumackich gimnazjalistów. Z wypożyczania książek korzystała mniejsza liczba uczniów, a po wprowadzeniu koedukacji – i uczennic. Dla nich powstała Sodalicja młodzieży żeńskiej, erygowana przez moderatora krajowego, ks. Opackiego we Lwowie.

W auli gromadzili się sodalisi na regularne zebrania, szkolenie kandydatów, okolicznościowe imprezy i obchody. Zebrań nadzwyczajnych jedno utkwiło mi w pamięci. Zwołał je ks. Witkowski po nieoczekiwanej śmierci sodalisa, Mieczysława Malisza, ucznia bodajże V kl. Nigdy z nim, jako starszym od siebie o kilka klas, nie rozmawiałem, ale z widzenia znałem go doskonale. Często chodził ulicami ze swoją matką, wdową, trzymając ją pod rękę. Był szczupłym, wysokim blondynem o rumianej, sympatycznej twarzy. O p. Maliszowej napiszę, gdy wspomnieniami zawędruję na ulicę Grunwaldzką, przy której mieszkała. O Mietku niczego bliższego nie wiedziałem. Dopiero ks. Witkowski na wymienionym zebraniu przedstawił nam jego duchową sylwetkę. Prowadził on pogłębione życie wewnętrzne, dążył wytrwale do doskonałości chrześcijańskiej, którą chyba nawet osiągnął, bo według relacji ks. Witkowskiego w całym swoim życiu nie popełnił żadnego grzechu ciężkiego. Słuchałem z przejęciem słów naszego Moderatora, pozostając jeszcze pod wrażeniem pogrzebu swego starszego kolegi, który odbył się przed kilkoma godzinami. W kościele umieszczono trumnę na katafalku, a przy ołtarzach głównym i bocznych odprawiały się Msze św. za spokój jego duszy. Śpiewano nie tyle pieśni żałobne, co maryjne. Zwłaszcza jedna z nich brzmi do dziś w moich uszach:

*Wkrótce już ujrzę Ją
w ojczyzny mej błękitcie
Mą radość, miłość, życie
Maryję, Maryję mą
W niebie, w niebie, w niebie
Wkrótce już ujrzę Ją.*

Odczuwałem pewność, że mowa w niej o Mietku, który w niebie ujrzał Matkę Bożą. Po ceremonii pogrzebowej w kościele, trumnę z ciałem zmarłego przewieziono do Lwowa i pochowano na cmentarzu Łyczakowskim. Być może, p. Maliszowa pochodziła ze Lwowa i chciała kiedyś w przyszłości spocząć obok swego syna.

Trochę dłużej zatrzymałem się przy osobie młodego Maliszę, opisując lokal Sodalicji Mariańskiej, bo niewątpliwie był on najwartościowszym jej członkiem podczas mojego pobytu w Tłumaczu. Wprawdzie Sodalicja nie liczyła wielu członków, ale wywierała duży wpływ na tę część uczniów gimnazjalnych, która zapisiła się do niej. Była też szczególnie umiłowaniem ks. Witkowskiego. Pod jego moderatorem Sodalisi pracowali nad własnym charakterem, pogłębiali swoją religijność, dbali o postępek w nauce.

Miesięczne składki, jakie uiszczali sodalisi, nie wystarczały – oczywiście – na utrzymanie obszernego lokalu i wyposażenie biblioteki. Toteż pomoc Sodalicji okazywały miejscowe organizacje społeczne, a zwłaszcza Koło Rodzicielskie uczniów gimnazjum. To właśnie ono zakupiło np. do auli znaczną ilość giętych, jasnych krzesel.

Na prawej ścianie auli wisiał duży, olejny obraz przedstawiający N. M. P. Niepokalaną. Wyszedł spod pędzla p. Zofii Kapanowskiej, która postać Matki Bożej skopiowała ze sodalicyjnego dyplomu. Okno auli, półokrągło zakończone, wychodziło na ulicę Trzeciego Maja.

Wszystkie trzy pomieszczenia były wybielone kredą. Ks. Witkowski nie uznawał w pokojach kolorowych farb. Podobnie wyglądało jego prywatne mieszkanie w bursie.

(c.d.n.)

Moje wspomnienia (lata 1934-1939)

Irena Pełech-Ruszel

Po wakacjach 1934 roku pojechałam z moim ojcem do Tłumacza (województwo stanisławowskie) w celu zdania egzaminu wstępnego do prywatnego gimnazjum prowadzonego przez siostry zakonne De Notre Dame.

Lato tego roku było gorące, a ja wkraczałam w nowe, nieznane mi życie, którego byłam bardzo ciekawa. Już od zarania mego życia interesowało mnie wszystko, co się wokół działo. Teraz miałam wyruszyć w świat do nowej szkoły.

Tłumacz był niedużym miastem powiatowym, liczącym 8 tysięcy mieszkańców. Moje rodzinne miasto, Borysław, zawsze pachnące naftą (z uwagi na znajdujące się tam pokłady ropy naftowej) miało 52 tysiące ludności. Odnosiłam więc wrażenie, że do Tłumacza przyjechałam z wielkiej metropolii. Tłumacz okazał się uroczym miasteczkiem z pięknym, jak na owe czasy, parkiem, w którym znajdował się budynek mojej przyszłej szkoły.

Teraz dopiero doceniam urok tego parku z jego pięknymi alejami, a szczególnie jedną z nich zwaną „ciemną aleją”. Po niej spacerowałyśmy na przerwach, douczając się jeszcze i podpatrując zakochane pary, a i same nieraz tam randkowałyśmy, co było przywilejem naszego wieku.

Ojciec ogromnie był przejęty moim egzaminem i stale przepytował mnie z różnych przedmiotów, wymagając ode mnie bardzo wiele, za co jestem mu bardzo wdzięczna. Egzamin, pomimo tremy, zdałam dobrze i szybko, bo w ciągu 5 minut.

Przy prywatnym gimnazjum znajdował się internat dla dziewcząt prowadzony przez siostry De Notre Dame, w którym zamieszkałam z innymi koleżankami. Moja nowa rola pensjonarki bardzo mi się podobała. Wszystko było dla mnie nowe, więc szeroko otwierałam oczy i spoglądałam na wszystko z zainteresowaniem. Podobały mi się nawet długie, czarne habity sióstr.

Życie zakonnice otoczone było ścisłą tajemnicą. My, uczennice, nigdy nie widziałyśmy, żeby siostry jadły, spały, wydawało nam się wtedy, że one żyją tylko modlitwą. Przełożoną była matka Antonina, której wysoka i majestatyczna postać wzbudzała respekt i szacunek. Przełożona była ślązaczka. Inteligentna, władała kilkoma językami. Niektóre uczennice pobierały u niej lekcje języka francuskiego. Uczyła nas też haftowania.

Wychowawczyni, siostra Lucjana, była ładną brunetką (czasem widziałyśmy wymykające się spod czepka włosy),

zawsze poważną i smutną. Pochodziła z bardzo bogatej rodziny.

Drugą wychowawczyni, siostra Serafina, miała lekkiego zęza i nosiła okulary, które powiększały jej oczy, przez co nazywałyśmy ją „sówką płomykówką”. Zawsze uśmiechnięta, na nasze wybryki patrzyła przez palce.

Jedną z wychowawczyń, a mianowicie siostra Jacenta, mieszkała przy kościele na parafii.

Naszym postrachem była siostra Hiacenta, która najprawdopodobniej pełniła funkcję porządkowej, gdyż zawsze można było ją spotkać na korytarzach internatu. Zakonnica ta śledziła nas stale i o wszystkim donosiła matce przełożonej. W efekcie czego musiałyśmy się tłumaczyć przed przełożoną z najmniejszych przewinień i oczywiście ponosić odpowiednie kary, jak np. zakaz wychodzenia z wszystkimi pensjonarkami na spacer. Pomimo tego wymykałyśmy się na niższe piętra, a nawet do sklepu pani Burczyńskiej po pyszną chałwę. Największym przestępstwem było pójście nieco dalej, do piekarni pana Czohary, gdzie kupowałyśmy chrupiące bułeczki. Do dzisiaj jeszcze czuję ich zapach.

Chcę nadmienić, że internat mieścił się na drugim piętrze budynku seminaryjnego, a pierwsze piętro zajmowało gimnazjum.

W Tłumaczu było też państwowe gimnazjum, z którego kilku profesorów dochodziło nas uczyć.

Profesor Walerian Erlich uczył matematyki. Języka polskiego uczył prof. Marian Mierzwiński. Pani prof. Trembałowicz uczyła geografii, prof. Stanisław Dąbek łaciny, a prof. Jan Smoluchowski śpiewu i muzyki.

Po roku nauki prywatne gimnazjum zostało zlikwidowane. Wobec tego zmuszone byłyśmy przenieść się do Państwowego Gimnazjum Koedukacyjnego.

Nadal mieszkaliśmy w internacie prowadzonym przez siostry zakonne, które nas odprowadzały na zajęcia szkolne i przyprowadzały po ich zakończeniu do internatu. Przechodzenie ulicami miasteczka, obserwowanie przechodniów i wszystkiego, co mogłyśmy ogarnąć wzrokiem, sprawiało nam wielką frajdę.

Chciałabym teraz obszerniej napisać o naszych profesorach gimnazjalnych.

Dyrektorem gimnazjum był prof. Ksawery Bułkowski, który krótko uczył mnie łaciny. Na lekcjach zwracał uwagę

na akcent, mówiąc przez nos: „Panienko Pełechówna, akcent, akcent”. Musieliśmy też skandować po łacinie i to było naszą zmorem, tj. mówienie prozą do rytmu. Dyrektor chodził lekko przygarbiony i nosił przykrótkie spodnie. Był starym kawalerem. Mając 65 lat zakochał się szalenie w swojej 16 letniej uczennicy. Pobrali się tuż przed wojną, lecz niestety za parę miesięcy zostali wywiezieni na Sybir. Niedługo więc nacieszył się swoim małżeństwem. Zmarł tam w skrajnej nędzy. Żona przeżyła i wróciła do Polski. Losy dyrektora Bułkowskiego głęboko utkwiły w pamięci Tłumaczan.

Wychowawcą mojej klasy i równocześnie nauczycielem języka polskiego był prof. Marian Mierzwiński. Wspaniała postać. Szanowałyśmy go bardzo, chociaż był niezmiernie wymagający. Szczególny nacisk kładł na literaturę polską, dlatego też bardzo często zadawał nam na pamięć poezję naszych wieszczów: Mickiewicza, Słowackiego. Musiałyśmy niektóre z ich utworów nie tylko umieć na pamięć, ale i pięknie deklamować, bo, jak mawiał, „musicie wkładać w to całe serce, mówić z uczuciem”. Kto chciał, aby profesor miał dobre zdanie o nim i otrzymać dobrą notę, to do lekcji musiał być należycie przygotowany. Profesor był dobrym psychologiem i zawsze, gdy ktoś z nas był nie przygotowany, wyczuł to i pytał danego ucznia. Zastanawiałyśmy się, skąd profesor wiedział o tym. Przypominam sobie, że pewnego razu zostałam wywołana do odczytania z podręcznika „Mówią wieki” pewnego fragmentu, który zaczynał się słowami: „Oj buty, buty, odzienie, odzienie”. Chcąc się pochwalić, jak biegle czytam, wyklepałam tekst, jak tylko mogłam najszybciej. Ale zamiast pochwały dostałam dwóję. Zwracając mi uwagę odnośnie mego czytania, profesor sam odczytał linijkę po linijce z wielkim uczuciem, interpretując każdą myśl przeczytanych słów. Profesor Mierzwiński kochał literaturę polską, wczuwał się w nią, bardzo dużo umiał na pamięć i pięknie z uczuciem deklamował. Dlatego też od nas wymagał tego samego. Jego córka chodziła razem ze mną do tej samej klasy. Opowiadała, że w domu był również dla niej i jej brata bardzo srogi, wymagający i nigdy nie pomógł im w lekcjach. Prześladował on bardzo zakochane pary i biada było tym, których spotkał na randce. Efektem takiego spotkania były komentarze profesora i dokładne odpytywanie przyłapanych uczniów. Nazywaliśmy to „piłowaniem”.

Nie sposób nie wspomnieć w tym miejscu o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce w Warce koło Warszawy. W 1955 r. postanowiłyśmy zorganizować pierwsze po wojnie koleżeńskie spotkanie. Nasza koleżanka, Mirosława Słotarska, mieszkała wówczas w Warce i w jej mieszkaniu doszło do spotkania w sierpniu tegoż roku. Było nas tylko 9 osób. Muszę tu zaznaczyć, że to wszystko odbywało się konspiracyjnie, ponieważ wówczas władze nie pozwalały na takie zebrania, a w dodatku mąż koleżanki zajmował wysokie stanowisko ministerialne. W pierwszym dniu naszego spotkania postanowiłyśmy zaprosić na nie naszego kochanego profesora Mariana Mierzwińskiego. Jego córka, która też przyjechała na to spotkanie, podała nam adres ojca. Zadzwończyłyśmy do niego, ucieszył się bardzo, że pamiętałyśmy o nim i ku naszej wielkiej radości przyjechał do Warki. Swoim przyjazdem sprawił nam wielką radość, byliśmy mu za to niezmiernie wdzięczne. Rozmawiał z nami nie jak profesor, ale jak ojciec i przyjaciel. Spędziłyśmy parę wspólnych dni na wspomnieniach, gdzie nie raz zakręciły się łzy w oczach. Niektóre z nas przyjechały tu ze swoimi dziećmi. Moja córka była razem ze mną. Miała wtedy 2 lata.

Profesor Mierzwiński zmarł w Prudniku na Opolszczyźnie w 1972 r.

Matematyki uczył nas prof. Walerian Ehrlich. O nim wspominałem już wcześniej, gdyż uczył nas matematyki w prywatnym gimnazjum. Był on świetnym matematykiem, energicznym, wysokiej postury mężczyzną, nieco przy tuszy, nosił według ówczesnej mody tzw. pumpy, do tego podkolanówki w duże wzory. Chodził sprężystym krokiem. Był bardzo lubiany przez nas wszystkich. Na lekcji, gdy miał dobry humor, siedział za stołem czyli tzw. katedrą, patrzył na nas wesołym wzrokiem i mówił dobitnie, do dziewcząt „no i co dziewczynki”. Ja jako najśmielsza, nawet lubiana przez niego, miałam takie samo imię, jak jego córka Irena i może dlatego tolerował moje wybryki, zadawałam mu żartobliwe pytania, na co mi z humorem odpowiadał. Uczniowie byli zadowoleni, że lekcja przebiegała na wesoło. Zawsze jednak tak wesoło nie było. Odbywały się normalne lekcje, na których byliśmy pytani z przedmiotu. Matematyka była ostatnią lekcją i profesor nieraz wcześniej ją kończył, pozwalając nam wyjść z klasy, nakazując jednak, abyśmy się cicho zachowywali. Chłopcy często nie brali tego pod uwagę i zachowywali się, jak tabun rozbrykanych koni, rycząc w niebogłose. Zirytowany tym profesor krzyczał „wróć” i wtedy się zaczynało. Chłopcom sypały się dwóje, a dziewczyny siedziały cicho jak trusie. Profesor Ehrlich żył niedługo. Również jego żona oraz jedyna córka umarły w młodym wieku, córka na szkarlatynę, a żona na gruźlicę. On w tym czasie przeziębził się i również zachorował na gruźlicę. Ta choroba była wówczas nieuleczalna. Zmarł w 1937 lub 1938 r. w lecie, pod Lwowem, w sanatorium w miejscowości Hołosko. Miał wówczas około 50 lat. Gimnazjum delegowało kilku uczniów na pogrzeb. W tej liczbie byłam i ja. Śmierć lubianego przeze mnie profesora przeżyłam ogromnie.

Po śmierci profesora Ehrlicha uczył nas krótko matematyki prof. Weingarten. Wiele nas nie nauczył, ponieważ nie potrafił przekazać swoich wiadomości innym.

Kilka słów pragnę napisać o prof. Stanisławie Dąbku, który uczył nas łaciny. Profesor posiadał ogromną wiedzę w tej dziedzinie, jednak nie potrafił nam tej wiedzy przekazać. Na jego lekcjach panował chaos. Każdy robił, co chciał. Był to człowiek o gołęmbim sercu i nieraz wstydziałam się niewłaściwego naszego zachowania wobec profesora, ale, jak to młodzi, nie zastanawialiśmy się długo nad tym. Profesor był starym kawalerem i człowiekiem nadzwyczaj wstydliwym. Zmarł w 1971 r. w Legnicy. Dokończył biegu życia opuszczony w wielkiej nędzy, taki wspaniały i wartościowy człowiek. Ot życie...

Gdy byłam w drugiej gimnazjalnej, do Tłumacza zjechał nauczyciel przyrody prof. Rzerzycha. Był to wysoki, przystojny mężczyzna. Zrobił na nas dziewczynach niesamowite wrażenie. Od pierwszej chwili wszystkie zakochałyśmy się w nim. Szczytem wyróżnienia było, gdy profesor którąś z nas wezwał do gabinetu przyrodniczego celem przygotowania gabinetu do ćwiczeń. Te, które były tam wezwane, czuły się w siódmym niebie, a opowiadaniom nie było końca. Na obchodach świąt państwowych profesor przyodziewał mundur oficerski, ponieważ był kiedyś zawodowym oficerem. Miał żonę dużo starszą od siebie, bardzo przystojną, która uczyła w niższych klasach biologii.

Historii uczyła nas prof. Haubrich, wysoka, przystojna szatynka. Była wymagająca, jak zresztą prawie wszyscy nasi profesorowie. Szczególny nacisk kładła na daty historyczne. Za naszej bytności w gimnazjum wyszła za mąż i po mężu

nazywała się Krokerowa. Pewnego dnia na lekcji pani profesor miała zły humor, posypały się dwóje, nagle nasz kolega Dyś, znany dowcipniś, ze smutną miną podniósł palce do góry, prosząc płaczącym głosem: „my nie chcemy pani profesor Kroker, my chcemy panią profesor Haubrich, która nie daje dwój”. Naturalnie sytuacja została rozładowana, dwóje gdzieś uciekły, a w klasie zapanowała radość.

Wspominam bardzo przyjemne wydarzenie. Kilka lat temu na nasze tradycyjne spotkania tłumackie w Kołobrzegu zaprosiliśmy panią profesor Krokerową. Pytała ona o swoich uczniów, gdzie są, co się z nimi dzieje. Gdy podeszłam do niej przywitać się, poznała mnie, wymawiając moje imię i nazwisko. Bardzo mnie to wzruszyło.

Profesor Jan Smoluchowski uczył nas śpiewu i muzyki. Nieodłącznym jego atrybutem był futerał ze skrzypcami. Profesor był bardzo wymagający. Uważał, że śpiew i muzyka to ważne przedmioty. Na lekcji musiało być cicho, jak makiem zasiał. Nuty musieliśmy znać celująco i według nich śpiewać. Mnie wybrał na „zapiewająkę” i mówił przy tym: „ty też źle śpiewasz, ale lepiej, niż oni”. Prawie zawsze na tablicy pisałam nuty do pieśni. Czasami to też robiła Andzia Słotarska. Profesor miał nerwowy tik twarzy, co nas wtedy bardzo śmieszyło, a to przecież była choroba nerwowa i nie było w tym nic śmiesznego. Był to nadzwyczaj dobry człowiek o dobrym sercu. Gdy miał humor, opowiadał nam przeróżne, śmieszne anegdoty. Nieraz uśmiałyśmy się do łez i wtedy zapominaliśmy o tym, jak ostro nas ćwiczył ze śpiewu i nut. Nazywaliśmy go „bemol”, ponieważ zwracał szczególną uwagę na ten znak przy pisaniu nut.

Przypominam sobie jedno wydarzenie z 1964 r. Byłam wtedy w Krynicy Morskiej. Pewnego razu spotkałam na ulicy państwa Smoluchowskich. Profesor zwykle chodził pochylony, ale teraz to było bardziej widoczne. Tu chciałam zaznaczyć, że profesor ożenił się w starszym wieku ze swoją uczennicą prawie o 20 lat młodszą od niego. Była to przystojna brunetka. Uczyła gry na fortepianie. Tu w Krynicy była jeszcze piękną kobietą na skroniach już lekko siwiejącą, jak zwykle smutną i zamyśloną. Profesor wspominał o moim głosie i zapytał, czy go kształciłam. Gdy powiedziałam, że głosu nie kształciłam, profesor odrzekł: szkoda, bo miała pani do tego predyspozycje. Powiedziawszy to, nagle od nas odszedł, a my z jego żoną spacerowałyśmy dalej, wspominając dawne, dobre tłumackie czasy.

Kilkanaście lat temu odwiedziłam państwa Smoluchowskich we Wrocławiu. Pani Smoluchowska zwierzyła mi się wtedy, że obecnie ma ciężkie życie, ponieważ mąż często choruje, jest bardzo nerwowym, starszym człowiekiem i dlatego wymaga z jej strony stałej opieki. Dodała, że wyszła za niego, ponieważ urzekła ją jego muzyka na skrzypcach. Dzieci nie mieli.

W następnych latach widywałam kilka razy profesora idącego ulicami Wrocławia. Bez względu na pogodę zawsze miał na nogach za duże kalosze, w jednej ręce dzierżył parasol, a w drugiej futerał ze skrzypcami. Gdy pozdrawiałam go na ulicy, pytając, co słyhać, jak zdrowie, odpowiadał w roztargnieniu: „a, a, dzień dobry, co słyhać, nie mam czasu, idę na lekcje” i tyle było naszej rozmowy po tylu latach. Zawsze też mówił: „A to ty Pełechówna, śpiewasz, wiem” i już dalej szedł.

Języka francuskiego w gimnazjum uczyła prof. Skibniewska, wysoka, przystojna, zgrabna, ciemna blondynka. Chłopcy podkochiwali się w niej. Pewnego razu zirytowała

się, gdyż w dzienniku nie było bibuły. Wówczas napisała w nim uwagę: „brak bibry”. Od tego czasu chłopcy nazywali ją „bibra” z akcentem na literę „r”. Nie miałam zajęć z prof. Skibniewską, gdyż uczyłam się języka niemieckiego.

Biologii uczyła nas pani Kubrycka, po mężu Kasperska, żona miejscowego weterynarza. Umarła przy porodzie. Po niej tego przedmiotu uczyła pani Rzerzychowa, żona prof. Stanisława Rzerzychy.

Była w naszym gimnazjum pani Trębałowicz, nauczycielka geografii, która dużo podróżowała i w związku z tym opowiadała nam o różnych krajach, które zwiedziła. Bardzo dobrze знаła Włochy.

Lekcje muzyki w starszych klasach prowadził prof. Jan Misiecki. Był to bardzo zdolny muzyk, grający na kilku instrumentach. Prowadził on orkiestrę gimnazjalną, która składała się z 52 osób. Profesor wyjeżdżał ze swoją orkiestrą do różnych miast w Polsce. Zdobyła ona na konkursach raz pierwsze miejsce i kilka razy drugie. Nasi muzycy byli z tego bardzo dumni. Żona profesora była zdolną pianistką i uczyła gry na pianinie. Ja również u niej brałam lekcje muzyki. Ich syn Edwin, który chodził razem ze mną do jednej klasy, był również muzykalny. Po wojnie mieszkał w Katowicach i prowadził orkiestrę górniczą.

Języka niemieckiego uczył nas prof. Hauser, który główny nacisk kładł na gramatykę. Uczył dobrze, bo wielu jego uczniów potrafiło się tym językiem posługiwać. Przed profesorem Hauserem niemieckiego uczyła nas pani Axenti. Przyjechała do Tłumacza z Drohobycza. Była to wysoka, przystojna kobieta o dużych, szaroniebieskich oczach. Uczyła nas bardzo krótko. Podczas wojny zginęła od wybuchu niemieckiej bomby.

Zajęcia z gimnastyki początkowo prowadziła pani Miarka. Po niej uczyła nas pani Kroszenko, po mężu Ziółka, traktowała ona gimnastykę bardzo poważnie. Zawsze mówiła: „w zdrowym ciele, zdrowy duch”. Prowadziła też harcerstwo i była moją drużyną, drużynową. Nauczyła nas mnóstwo różnych piosenek harcerskich i patriotycznych. Po wojnie mieszkała w Tarnowie już jako wdowa ze swoim bratem. Odwiedziłam ją dwa razy.

Należy też parę słów wspomnieć o panu Łazaruku, nauczycielu języka ukraińskiego. Bardzo mało nam przekazał wiadomości odnośnie tego języka, ponieważ zamiast prowadzić lekcje, śpiewał piękne dumki ukraińskie, ale trzeba przyznać, że miał bardzo ładny głos.

Prefektem gimnazjalnym oraz wykładowcą propedeutyki filozofii w klasach licealnych był ks. dr Mikołaj Witkowski. Ksiądz profesor był bardzo srogi i często w swoich kazaniach w niedziele, a szczególnie na rekolekcjach, gdzie panowała cisza jak makiem zasiał, gromił nas za niewłaściwe zachowanie, więc baliśmy się go bardzo. Pod koniec życia ks. M. Witkowski mieszkał we Wrocławiu i tu spotykał się z Tłumaczanami starszej generacji.

Przez cały czas naszego pobytu w tłumackim gimnazjum zawsze byliśmy pod dobrym i czujnym okiem naszych profesorów i chociaż niektórzy z nich byli surowi i wymagający, to z perspektywy czasu oceniamy ich zupełnie inaczej i jesteśmy im wdzięczni za to, że wychowali nas na porządnymi i uczciwymi ludźmi.

Po wojnie bracia tłumacka spotykała się na różnych koleżeńskich zjazdach, a od 1990 r. zawsze w czerwcu przyjeżdżamy do Kołobrzegu, by powspominać dawne czasy i nacieszyć się sobą. □

Zajfer i inni

Henryk Wilczewski

Siedział ze mną w jednej ławce już od początku mojej edukacji, którą rozpocząłem w 1936 r. w Tłumaczu. Nazywał się Zajfer (być może, że poprawnie należało by pisać Seifer). O dźwięku jego imienia nie pamiętam. Po prostu mówiłem do niego Zajfer. Był dobrze wychowany, grzeczny i koleżeński, czasami do przesady. Pamiętam, że obowiązywały wtedy kałamarze, z których nie wylewał się atrament, nawet gdy postawiono się taki kałamarz do góry dnem. Pewną uciążliwość stanowił fakt, iż kałamarz taki należało każdego dnia przynieść ze sobą, a następnie po zakończeniu lekcji zabrać go znowu do domu. Co praktyczniejsi uczniowie nosili nawet takie specjalne pokrowce na kałamarz, ściągane u góry tasiemką, którą trzymało się w ręku, niosąc kałamarz. Wydawało mi się wówczas, że nie jest to sposób zbyt elegancki i nie korzystałem z takiego udogodnienia. Po prostu, mój kałamarz zabierał codziennie Zajfer i następnego dnia przynosił mi go do szkoły. Wcale nie prosiłem go o tę przysługę. To była jego własna inicjatywa, którą uzasadniał faktem, iż mieszka znacznie bliżej szkoły. Istotnie, mieszkał bowiem w rynku, gdzie jego ojciec prowadził restaurację i chyba rozlewnię wód gazowanych. O ile dobrze pamiętam – restauracja ta mieściła się w należącym do Zajferów domu, którego zdjęcie zostało umieszczone na okładce „Zeszytów Tłumackich” Nr 2 z 1996 r. Nawiasem mówiąc, właśnie to zdjęcie stało się czynnikiem inspirowującym tę garść wspomnień o początkach mojej tłumackiej edukacji. Zajfer był bardzo dobrym uczniem. Jego zeszyty, porządnie oprowiane, czyste, w ciągu roku szkolnego wypełniały się starannym, wyraźnym pismem. Zaczęliśmy oczywiście od pionowych i pochylonych kreseczek, kółeczek itp., których pedantyczności nie raz mu zazdrościłem. Po napisaniu każdej linijki korzystał z bibuły, którą systematycznie, z pewnym namaszczeniem przykładał do zapisanych literek. Początkowo budziło to moje zdziwienie, a może nawet bawiło mnie to nad wyraz poważne traktowanie prozaicznej moim zdaniem funkcji pisania, ale w miarę upływu czasu zdążyłem się do tego przyzwyczaić. Wychowawcą klasy był pan Löve (Lew) Naftali, kandydat rabinacki. Przyszły rabin musiał odbyć kilkuletnią praktykę pedagogiczną, co też właśnie w okresie rozpoczęcia przeze mnie edukacji w tłumackiej szkole powszechnej przypadło w udziale szanownemu panu Naftalemu. Sądzę, że za jego to właśnie sprawą Zajfer został moim najbliższym sąsiadem w ławce. Ławki były bodajże trzyosobowe, miałem więc jeszcze jednego kolegę. Nazywał się Ilczyszyn Mirosław, ale to już odrębna historia. Rozpoczynając i kończąc lekcje odmawialiśmy zawsze modlitwę. Uczniowie wstawali i głośno mówili słowa modlitwy „Dziękuję Ci Panie Boże za światło tej nauki” itd. Pan Löve stał w tym czasie pośrodku klasy z bardzo poważną i godną miną, czekając na ukończenie przez nas modlitwy. Inni koledzy wyznania mojżeszowego, też w tym czasie stali, stał również Zajfer. Był chłopcem bardzo spokojnym i cichym o okrągłej, nieco piegowatej, bladej twarzy. Często bolały go zęby, co też od razu można było poznać gdy przychodził do szkoły z obolałą miną i twarzą opatuloną przeważnie kraciastą chustą zawiązaną węzłem na czubku głowy. Jak mi się teraz wydaje, nie widziałem go chyba nigdy bez tej chusty. Instynktownie wyczuwałem, że w mojej osobie znajduje jakieś oparcie, którego widocznie potrzebował. Byłem raczej chłopcem przeciętnie rozwiniętym fizycznie i do osiłków nie należałem. Dziwnym jednak trafem pewien autorytet w klasie zawsze miałem i być może to właśnie sprawiało, że nieśmiały, cichy, o wylęknionym spojrzeniu dużych, szarych oczu mój kolega ze wspólnej ławki Ignął do

mnie i darzył mnie zaufaniem. Pamiętam, jak wielkie moje zdziwienie wzbudził kiedyś Zajfer, rozpakowując na przerwie przyniesione z domu śniadanie. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem bowiem kromkę chleba posmarowaną czymś dziwnym, czego nigdy dotychczas nie widziałem. Niewątpliwie był to jakiś tłuszcz. Ale jaki? Ni to coś w rodzaju grysiku kukurydzianego, ni to smalec, bo kolor wyraźnie żółty, na pewno nie gładkie masło. W żaden sposób nie mogłem dociec, co to takiego? Zapytałem więc Zajfera czym ma posmarowany chleb. Był wyraźnie zdziwiony i nawet rozbawiony moją nieznaną rzeczą. Jak to, nie wiesz? Przecież to jest smalec gęsi. Ja – powiada, nie jem tak jak ty kanapek z wędliną, bo moja religia na to nie pozwala. Często po lekcjach Zajfer odprowadzał mnie niemal pod sam dom, a ze chłopak był nad podziw bystry i inteligentny, więc tematów do rozmów nam nie brakowało. Bardzo interesował się wojskiem i wszystkie nasze dyskusje dotyczyły w głównej mierze tego tematu. Oczywiście, jako syn oficera czułem się niezwykle kompetentny w tym przedmiocie i opowiadałem mu zarówno prawdziwe jak i wymyślone na poczekaniu historie o wojsku, broni itp., wzbudzając tym niekłamany zachwyt mojego poczciwego i dosyć łatwowiernego kolegi. Aż kiedyś w czasie takiej rozmowy, kiedy to roztaczałem przed nim niezwykle opowieści o znajdującej się w moim domu broni krótkiej, długiej i białej – Zajfer nie wytrzymał i z wyraźnie niemal błagalnym spojrzeniem zwrócił się do mnie mówiąc „ach, jakbym ja chciał zobaczyć prawdziwy karabin i szablę”. Znajdowaliśmy się właśnie w pobliżu mojego domu. No cóż, tu już nie można było wycofać się nie tracąc twarzy. Zdawałem sobie sprawę, że gdybym w jakikolwiek sposób usiłował wykipić się i nie zadośćuczynił jego prośbie, to cały mój dotychczasowy autorytet „wybitnego znawcy spraw wojskowych i broni” utraciłby natychmiast swój blask, a kto wie, może nawet i moja prawdomówność zostałaby poddana w wątpliwość. W żadnym wypadku nie mogłem do tego dopuścić. Zapraszam więc kolegę do domu. Tu prezentuję mu cały domowy arsenał. Było tego istotnie parę sztuk. Z broni długiej austriacki karabin kawaleryjski, którym ćwiczyliśmy stale musztrę ze starszym bratem, strzelba myśliwska Ojca, karabinek pneumatyczny używany przez nas do ćwiczeń w strzelaniu do tarczy, dwa rewolwery Ojca – 12-strzałowy Mauser z przystawianą kolbą i małą oficerską 6-tkę. Tych ostatnich nie wolno nam było dotykać, – ale czego się nie robi dla zaimponowania koledze! Zaproponowałem mu nawet by wziął do ręki mały rewolwer, ale przezornie odmówił. Pokazałem koledze również szablę oficerską i długi bagnet francuski, który nie pamiętam nawet, skąd się wziął w naszym arsenale. Zajfer był wyraźnie szczęśliwy, a ja też rosłem w dumę. Byłem przekonany, że teraz z całą pewnością uwierzy święcie we wszystko, co mu opowiadałem, nawet te wysrane z palca różne nieprawdopodobne historie nabiorą zapewne realnego kształtu. Przecież widział na własne oczy i mógł nawet dotknąć. Przytłoczony ogromem wrażeń, by nie pozostać zbyt w cieniu, mój miły kolega Zajfer oświadczył mi w pewnym momencie, ni mniej ni więcej tylko „A mój tato był w czasie wojny przy kozakach”. Spojrzał na mnie badawczo tymi swoimi dużymi, czarnymi oczami spod długich mioteł rzęs, jakie wrażenie zrobiło na mnie to oświadczenie i czy aby na pewno wierzę jego słowom. Biorąc moje zaskoczenie za efekt, jaki wywarło na mnie to wyznanie, pożegnał się szybko i wyszedł. Odprowadziłem go aż do furtki na podwórzu. Często, gdy wracam myślami do lat dziecińczych, odpowiednie miejsce zajmuje w nich mój kolega szkolny Zajfer, którego ojciec był w czasie wojny „przy kozakach”, a on sam był dobrym, cichym, spokojnym chłopcem i dobrym uczniem. Boję się myśleć, jaki los zgotowała mu ostatnia, straszna wojna.

Drugim kolegą, który rozpoczął ze mną edukację szkolną i siedział już od pierwszej klasy w jednej ławce był Mirosław Ilczyszyn. Mirek był Rusinem. W tym czasie rzadko używało się określenia „Ukrainiec”. W każdym bądź razie zarówno ja jak i moi rówieśnicy znaleźliśmy tylko to pierwsze. Drugie przyszło dopiero parę lat później, nabierając szczególnego znaczenia w czasie obu okupacji. Skoro bowiem w świadectwach szkolnych uwidoczniony był wyraźnie przedmiot „język ruski”, to wyprawialiśmy stąd logiczny wniosek, że posługują się tym językiem Rusini, a więc nasi koledzy z klasy. Wszelkie niuanse i subtelności związane z różną interpretacją tych pojęć, były nam całkowicie obce. Takim najbliższym wówczas moim kolegą, bo siedzącym w jednej ławce był właśnie Mirek Ilczyszyn. O ile pamiętam, miał on starszego brata i we troje z matką mieszkali w ruskiej bursie przy ul. Słowackiego, gdzie jego mama prowadziła jakieś sprawy gospodarcze. Mirek był chłopcem cichym i spokojnym. Uczył się dobrze. Skromnie, ale zawsze czysto ubrany. Był doskonałym kolegą w klasie, a i poza lekcjami niezłym kompanem do zabaw. Być może, że ten mój sympatyczny szkolny kolega został by przeze mnie już dawno zapomniany, gdyby nie pewne zdarzenie, dzięki któremu zapisał się na trwale w mojej pamięci. Było to w czasie przygotowań do obchodów święta 3-go Maja w 1938 r. Cała szkoła żyła tymi przygotowaniami. Grono nauczycielskie nie szczędziło wysiłków by obchodom nadać należyłą rangę i oprawę podkreślającą znaczenie tej rocznicy. Starsze klasy zamierzały wystąpić z różnymi programami okolicznościowymi, w ramach których oprócz wystawienia jednoaktówki o treści patriotycznej, przewidziane były również recytacje wierszy okolicznościowych i występy chóru. Młodsze klasy, a więc i moja II-ga „B”, pod opiekuńczym okiem pana Löve tylko biernie przygotowywały się do obchodów tego wielkiego święta, manifestując swoje patriotyczne uczucia recytowaniem na lekcjach odpowiednich wierszyków związanych tematycznie z tym

wielkim wydarzeniem historycznym. Śpiewaliśmy też, niemal każdego dnia w ostatniej dekadzie kwietnia znaną, patriotyczną pieśń „Witaj majowa jutrzeńko”. Refren tej pieśni, jak zapewne dobrze wszyscy pamiętamy brzmi „Witaj maj, trzeci maj, u Polaków błogi raj” i powtarzany jest dwukrotnie. I oto, któregoś dnia, gdy cała klasa w podniosłym nastroju, w pozycji na baczność śpiewała kolejny raz ów znany refren „Witaj maj, trzeci maj, u Polaków błogi raj” – do uszu moich doszło niesłyszane uprzednio słowo „i Rusinów”. To mój kolega Ilczyszyn Mirek, ulegając widocznie podniosłemu nastrojowi tej patriotycznej polskiej pieśni, spontanicznie uzupełnił jej tekst, dodając po słowach „i Polaków” swoje skromne „i Rusinów”. Od tego dnia, gdy tylko śpiewaliśmy w klasie tę pieśń majową, w naszej ławce można było usłyszeć dwa chłopięce głosy powtarzające refren „Witaj maj, trzeci maj, u Polaków i Rusinów błogi raj”. To śpiewali Mirek Ilczyszyn i ja.

Nie wiem jak potoczyły się późniejsze jego losy. Wiem tylko jedno, że w dzieciństwie, gdy łączyły nas więzy szkolnej przyjaźni, był on jednym z nas i ulegał uczuciom i nastrojom wspólnym dla nas wszystkich. To, wtrącone przez niego spontanicznie jedno słowo sprawiło, że na zawsze zapisał się w mej pamięci. Byli więc w mojej klasie koledzy Polacy, byli Żydzi, byli też Rusini, których obecnie nazywamy Ukraińcami. Wszyscy byli dobrymi kolegami i przeważnie dobrymi uczniami. Nie sposób pominąć jeszcze jednej narodowości, której bodajże jedyne reprezentanta mieliśmy w naszym gronie. Nazywał się, o ile mnie pamięć nie zwodzi, Hutt i był z pochodzenia Niemcem. Było nas w klasie około dwudziestu. Niestety nie wszystkie nazwiska zachowałem w pamięci. Pamiętam tylko kilkunastu, a mianowicie: Azorkiewicz, Drobisz, Hawryluk Rajmund, Hutt, Ilczyszyn Mirosław, Kusz (Kurz) Stanisław, Kruk Ryszard, Lachowicz Józef, Makowiecki Tadeusz, Muszyński Henryk, Olejnik, Seifer, Wilczewski Henryk, Zdanowicz. □

Z pamiętnika Bronisławy Sokołowskiej z d. Macek

Maria Sokołowska-Szelc

Jestem tłumaczką. Moimi rodzicami są Bronisława i Józef Sokołowscy. Matka Bronisława, z domu Macek, zamieszkiwała z rodzicami i rodzeństwem w Tłumaczu przy ul. Jagiellońskiej. Rodzeństwem mojej matki byli Stanisław, Antoni i Jan (profesor w tłumackim gimnazjum).

Moja matka wyszła za mąż za Józefa Sokołowskiego, który pochodził z Oleszy. Ojciec był kowalem. Rodzice po zawarciu związku małżeńskiego zamieszkali w domu rodzinnym mojej matki Bronisławy przy wyżej wspomnianej ulicy Jagiellońskiej, gdzie ojciec w podwórzu prowadził kuźnię.

Rodzice od lat już nie żyją. Ojciec zmarł w 1960 r. mając zaledwie 51 lat. Matka zmarła w 1986 r., w 81 roku życia.

Po wojnie nasza rodzina przyjechała na Ziemię Odzyskaną, na Dolny Śląsk. Mieszkam w pięknym mieście, w Brzegu.

Ludzie odchodzą, „tout passe” (wszystko przemija), potomnym pozostają jedynie wspomnienia, pamiątki, poźółkłe fotografie.

Posiadam po moich rodzicach wiele pamiątek z Tłumacza. Wśród nich jest jedna, skromna, ale jakże cenna i niezwykła – pamiętnik mojej matki Bronisławy.

„Verba volant, scripta manent (słowa ulatują, pismo pozostaje) – i tak jest właśnie z tym pamiętnikiem.

Jest niewielki, nieco mniejszego formatu aniżeli zeszyt, oprawiony w brązową skóropodobną okładkę. Na przedniej okładce u

góry, po lewej stronie, przymocowana jest piękna jaskółeczka w locie, wykonana bardzo misternie z nierdzewnego metalu. Dla mnie, biorąc pod uwagę zawartość tekstową pamiętnika, ta jaskółeczka jest symbolem lotu w życie. Po prawej stronie, teź okładki, biegnie pionowo paseczek, teź brązowy, z bardzo starą metalową sprzączką. Myślę, że teź jest symbolem. Pamiętniczek był kupiony w Tłumaczu! Zawiera on 31 kartek – są już poźółkłe, stare, ale „ciągle żywe” – tchną Tłumaczem i przeszłością. Wpisy, dedykacje (jest ich tylko 10) Przyjaciół – tłumaczan mojej matki są z 1931 i 1932 roku. Są to słowa serdeczne, życzliwe, niektóre figlarne. Matka, za życia, bardzo często brała do ręki „swoją pamiętniczek” i głośno odczytywała słowa niegdyś napisane tylko dla niej przez Przyjaciół z Tłumacza.

Na kilku dedykacjach moja siostra Krystyna, gdy już „posiadła umiejętność pisanie” na imieniu matki „Broni lub Bronci” „nałożyła” swoje imię (oczywiście bez wiedzy matki), stąd w czterech przypadkach imię matki jest trudne do odczytania.

Szanowni Państwo – tłumaczanie, zamieszczam kopię tekstów zamieszczonych „w pamiętniku Bronisławy”, mojej matki. Myślę, że szczególnie sprawi to radość i przywoła we wspomnieniach lata młodości Przyjaciółom mojej matki, autorom serdecznych słów i życzeń.

Pokolenia przemijają, słowa ulatują, pismo pozostaje...

Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży

Jerozolimskie chorągiew ottynijskich żołnierzy

Tadeusz Kukiz



Chorągiew Ottynijska

Fot. T. Kukiz

Przed paroma laty w książce Kamila Barańskiego* natknąłem się na informację, że w roku 1944 w Jerozolimie grupa żołnierzy polskich pochodzących z parafii Ottynijskiej w województwie stanisławowskim ufundowała dla swego kościoła chorągiew i że przechowywana jest ona w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Wspominając o tym w kilku moich artykułach o obrazie Wniebowzięcia NMP z Ottynii, nie przypuszczałem, iż doprowadzi to do sprowadzenia tej chorągwi do kraju.

Kiedy we wrześniu 1996 r. podczas kilkudniowego pobytu z żoną w Londynie odwiedziliśmy Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, pragnąłem zobaczyć ottynijską chorągiew. Dzięki uprzejmości kustoszy Muzeum, p. inż. Krzysztofa Barbarzkiego i p. W. J. Fiedlera, została ona przyniesiona z magazynu i mogliśmy nie tylko ją obejrzeć, ale także wykonać zdjęcia.

Na awersie chorągwi, na białym tle, w owalu, znajduje się wizerunek MB Częstochowskiej, a w otoku napis „NIEZŁOMNOŚĆ – WIARY – KATOLICKIEJ – DUCHA – POLSKIEGO” otoczony wieńcem róż; u góry, po bokach – dwa krzyże jerozolimskie. Na rewersie, na czerwonym tle, widoczny jest duży krzyż jerozolimski z inskrypcją w otoku „PAMIĄTKA – TUŁACZKI – WOJENNEJ – PO – ZIEMI – ŚWIĘTEJ” z girlandą

róż, a u dołu napis: „JEROZOLIMA” i niżej: „Paraf. rzym.-kat. w Otynia” (!). Drzewce chorągwi zwieńczone jest metalowym krzyżem jerozolimskim z jeszcze jednym napisem: „JEROZOLIMA”.

Dzieje tej chorągwi są bardzo interesujące. Myślę, że najlepiej przedstawić je w postaci obszernych fragmentów pozornie suchego, ale jakże wzruszającego i oddającego ducha tamtych lat dokumentu**, znajdującego się w londyńskim Instytucie (przytaczam go, zachowując oryginalną pisownię):

„Działo się w Świętym Mieście Jerozolimie w Roku Pańskim 1945, dnia 15 kwietnia, w szóstym roku zawieruchy dziejowej i nieznanego w dziejach ludzkości MĘCZENSTWA NARODU POLSKIEGO.

Legalne WŁADZE RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ znajdowały się na wygnaniu w LONDYNIE, KRAJ jęczał pod okupacją wrogów, setki tysięcy obywateli polskich tułało się po całym świecie, a ARMIA POLSKA walczyła na wszystkich polowiskach świata za wolność Polski i uciemnionych narodów.

Na STOLICY APOSTOLSKIEJ zasiadał Jego Świątobliwość OJCIEC ŚWIĘTY PIUS XII, a Rzeczpospolitą wodził PREZYDENT WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ.

Premierem Rządu Polskiego był Tomasz ARCISZEWSKI, Prymasem Polski Jego Eminencja Ksiądz Kardynał August HLOND (...). Obowiązki Naczelnego Wodza Armii Polskiej pełnił Generał Dywizji Władysław ANDERS, Biskupem Polowym Wojsk Polskich był Jego Ekscelencja Ksiądz Biskup Józef GAWLINA (...), a Kierownikiem Katolickiego Duszpasterstwa Polskiego w Palestynie z siedzibą w Jerozolimie Ksiądz Kanonik Stefan PIETRUSZKA.

„Mieszkańcy Osady Polska Wola, parafianie rzymsko-katolickiego kościoła miasteczka Otynia leżącego w powiecie TŁUMACZ województwa STANISŁAWÓW, uratowani z więzień i obozów bolszewickich, dostawszy się w swojej długiej tułaczce do ZIEMI ŚWIĘTEJ postanowili (15 VII 1944 r. – T. K.) ufundować dla swojego kościoła parafialnego chorągiew jako widomy znak wdzięczności dla BOGA i MATKI NAJŚWIĘTSZEJ ZA WYBAWIENIE ICH z „PIEKŁA BOLSZEWICKIEGO”.

Wykonanie powyższego zadania powierzono komitetowi, w skład którego wchodził: Kapral W. P. Franciszek KONDRAT, Starszy Ogniomistrz Antoni HOŁDANOWICZ, Kapral Zygmunt PIECHOWICZ i Kapral Stanisław KRAWCZYK.

Po zebraniu niezbędnych funduszy, na które złożyły się ofiary Uchodźstwa Polskiego z Województwa Stanisławowskiego, a w przeważnej części z ofiar mieszkańców Osady POLSKA WOLA, parafian Otyńskich, przystąpiono do realizacji powziętego zamiaru.

Chorągiew została wykonana w pracowni artystycznej SIÓSTR FRANCISZKANEK – MISJONAREK w Jerozolimie (...)

W dniu 15 kwietnia 1945 r., po nabożeństwie w kościele OJCÓW ASUMPCJONISTÓW w Jerozolimie, chorągiew poświęcił Ksiądz Kanonik Stefan Pietruszka w BAZYLICE GROBU BOŻEGO w kaplicy NAJŚWIĘTSZEGO SAKRAMENTU,

w obecności przedstawicieli Polskich Władz Cywilnych i Wojskowych z Konsulem Generalnym Rzeczypospolitej Polskiej Aleksym WDZIEKONSKIM i Komendantem Placu Stefanem RUEGIEREM na czele oraz licznej rzeszy UCHODŹCTWA POLSKIEGO.

Nazajutrz, tj. 16 kwietnia, po Mszy świętej i wspólnej modlitwie Parafian Otyńskich w intencji swoich rodzin i parafii, złożono chorągiew kolejno na GROBIE BOŻYM, następnie na skale, na której stał KRZYŻ CHRYSYTA PANA, potem na miejscu, gdzie stała MATKA NAJŚWIĘTSZA podczas męki SWOJEGO SYNA, a w końcu na KAMIENIU NAMASZCZENIA.

Protektorem tych uroczystości był Dowódca Jednostek Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie Generał Brygady Józef WIATR (...)

Oby BÓG WSZECHMOGĄCY w Swojej nieprzebranej łaskawości raczył nam OJCZYŻNE naszą w całości zachować i uchronić Ją przed zamiarami narzucenia Jej tak zwanej „LINII CURZONA” oraz oby raczył fundatorom tej chorągwi pozwolić wnieść ją w triumfie jak najrychlej do ich parafialnego kościoła.

NIECH TEN ZBOŻNY CZYN, powstały na tułaczce po obcych ziemiach w cierpieniu, udęce, mękach i katuszach, świeci przysłemu pokoleniu po wsze czasy przykładem UMIŁOWANIA BOGA, WIARY ŚWIĘTEJ I ZIEMI OJCZYSTEJ”.

24 kwietnia 1974 r. jeden z członków Komitetu, Antoni Hołdanowicz, wystosował do Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego następujące pismo: „Niżej podpisany opiekun chorągwi kościelnej ufundowanej przez żołnierzy i oficerów za zezwoleniem gen. ś. p. Andersa w Jerozolimie, przechowywanej i używanej w różnych uroczystościach religijnych i narodowych, dziś, ze względu na mój wiek 81 lat, chce zabezpieczyć i powierzyć tak cenną pamiątkę w ręce Wasze. Załączam przy niniejszym 3 fotografie celem wglądu i wyrażenia zgody na dostarczenie w ręce Muzeum, bo może Bóg pozwoli, że będzie doręczona na miejsce przeznaczenia. Oczekuję zgody Komitetu (Instytutu – T. K.) i odpowiedzi. Z poważaniem A. S. Hołdanowicz. Blackpool”.

Tak więc dzięki ś. p. Antoniemu Hołdanowiczowi chorągiew trafiła do jednej z najbardziej znanych instytucji kultury polskiej na emigracji.

Kiedy po powrocie z Londynu pokazałem fotografie i odbitki dokumentów pochodzących z ottyńskiej parafii przyjacielowi, Władysławowi Boczarowi, zainicjował on starania o przekazanie chorągwi do kraju. 11 listopada 1996 r. grono dawnych ottyńskich parafian ze swym duszpasterzem z czasów wojny, ks. prałatem Stefanem Helowiczem, oraz ks. Józefem Wojdakiem proboszczem parafii w Ligocie Książęcej koło Namysłowa (znajduje się tam cudowny obraz Wniebowzięcia NMP z kościoła w Otynie), zwróciło się do Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Si-

korskiego z prośbą o przekazanie chorągwi do kościoła w Ligocie zapewniając, że „zostanie ona umieszczona na honorowym miejscu przed cudownym obrazem Matki Boskiej Wniebowziętej”. Prośbę tę poparła Kuria Metropolitalna we Wrocławiu.

Ku radości dawnych parafian, londyński Instytut Polski wyraził zgodę. Jego prezes, rotmistrz Ryszard Dembiński pisał m. in.: „(...) w Ligocie na Śląsku jest najodpowiedniejsze miejsce dla chorągwi, która nie tylko że będzie umieszczona przed ołtarzem, przy którym modlili się Ci, co ją ufundowali, ale również będzie doskonałym świadectwem dla młodych świadczącym o przywiązaniu ich Dziadów do swej Parafii”.

„Przed paroma tygodniami – pisał dalej Prezes Instytutu – otrzymaliśmy list od pani Ireny Zielińskiej z Wrocławia, kustoszki Muzeum Historycznego, z prośbą o przekazanie chorągwi do Jej Muzeum. Uważamy jednak iż jest jeszcze za wcześnie, by znalazła się ona w Muzeum, a winna – tak, jaką była intencja fundatorów – przewodzić na procesjach i być stale przy ołtarzu, dla którego była przeznaczona, chociaż nie w miejscowości, z której Parafianie poszli na tułaczkę”.

12 marca 1997 r. w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego dokonano uroczystego przekazania chorągwi przybyłej z kraju delegacji dawnych parafian (Jan i Władysław Boczarowie i Kazimierz Twardowski), której przewodniczył ks. Józef Wojdak. 6 kwietnia tego roku chorągiew była wystawiona podczas Mszy św. w kościele parafialnym w Prudniku (diecezja opolska); w nabożeństwie, prócz miejscowych wiernych, wzięła udział część zamieszkałych w Polsce dawnych ottyńskich parafian.

15 sierpnia, w dniu jubileuszu 40-lecia parafii rzymskokatolickiej w Ligocie Książęcej, Metropolita Wrocławski ks. kardynał Henryk Gulbinowicz, dokonał aktu koronacji cudownego obrazu MB Ottyńskiej. Wówczas też, w święto Oręża Polskiego, chorągiew ufundowana na tułaczce została wreszcie, po tylu latach uroczystie wprowadzona do świątyni – tej, która przejęła tradycje dawnej parafii ottyńskiej, a następnie niesiona w uroczystej procesji tuż za cudownym wizerunkiem NMP Wniebowziętej.

* „Przeminęli zagończycy, chliborobi, chasydzi. Rzecz o ziemi stanisławowsko-kołomyjsko-stryjskiej”. Londyn 1988.

** „Akt fundacji i poświęcenia chorągwi rzymskokatolickiej parafii w Otynie”.

Przypominamy, że pierwsza wiadomość o Chorągwi Jerozolimskiej została opublikowana w art. „Obraz Wniebowzięcia NMP w Otynie pow. Tłumacz, w kościele parafialnym w Ligocie Książęcej k/Namysłowa” T. KUKIZ w ZT Nr 2 (6) 97, str. 19,20.

Redakcja

W cieniu białych nocy i czarnych dni

Wspomnienia Sybiraczki (c.d.)

Leonarda Grenadier-Złotnik

Był rok 1945 – jesień. Przed nami kolejna zima. Zdajemy sobie sprawę, że tej zimy nie przetrwamy. Odzież podarta, zapasów żywnościowych nie ma, sił do pracy coraz mniej. W połowie września obiega kołchoz wiadomość, że szykują się pierwsze transporty, które będą kierowane na zachód w kierunku Europy. Z inicjatywy Sztabu Armii Ko-

ściuszkowskiej powołano komisje, które miały sporządzić listy najbardziej chorych i słabych. Pamiętam, że w czasie pracy komisji nie było zawiści, przepychanek i żadnych znajomości. Ludzie pracowali solidnie, nikt nikomu nie zazdrościł pierwszeństwa wyjazdu. W pierwszej kolejności zakwalifikowano rodziny najbardziej zagrożone.

I takim to sposobem znalazłyśmy się na liście jako jedne z pierwszych. Radość nie do opisania, a jednocześnie obawa czy to może kolejny podstęp „właści sowieckiej” i wywożą nas na tak zwane „białe niedźwiedzie”.

Zbieramy resztki podartej i zniszczonej odzieży, szykujemy się do wyjazdu.

Pod koniec września podstawiają pociąg towarowy, takie same wagony jak pięć lat temu, brudne na podłodze snopki nieświeżej, stęchłej słomy. Ale już bez okratowanych drutem kolczastym okien, a drzwi są otwarte, nie ma w nich zasuw ani kłódek, nie ma żołdatów konwojujących transport.

Pamiętam, dzień wyjazdu był słoneczny i ciepły. Tłum ludzi na rampie kolejowej, tych wyjeżdżających i tych, którzy zostają, czekając na następny transport. Gwar, łyż radości, ostatnie pożegnania. Z tego tłumu wymykam się przez nikogo nie zauważona. Usiadłam na skarpie kolejowej z bardzo mieszanymi uczuciami – radość i strach, wręcz trwoga. Patrzę na popuchnięte ręce i nogi (skutek odmrożenia), na pozostałe blizny po chorobie wrzodowej, na podartą odzież, na buty, które są za duże. Mała, wychudzona, słabo widząca na oczy. Szczególnie nękały mnie te wielkie buciorry, z którymi nie mogłam sobie poradzić. Stawiałam w nich kroki uważając, by się nie przewrócić. I tak rozważając, za tęskniłam za ojcem, którego tak dawno nie widziałam. Czy jeszcze żyje, a jeśli żyje i spotkamy się, to czy mnie pozna, a może nie? Tak jak nie poznała swego wnuka p. Raczkowska, gdy wrócił z łagrów. Z tej zadumy ocknął mnie gwizd lokomotywy i zawiadowca dający znak do odjazdu. Biegnę do pociągu, bez strachu, że nie zdążę, że mnie zostawia. Wsiadam, zgrzyt kół, ostatnie słowa pożegnania i pociąg rusza. Kierunek – Europa. I znowu na bocznicę pociąg zatrzymują, do wagonu wchodzi żołdat i mówi, że niedługo będzie rewizja i jeśli znajdą jakiegokolwiek zaświadczenie z okrągłą pieczętką, to ta osoba będzie natychmiast aresztowana i wysłana daleko w tajgi. Wyszedł, żadnej rewizji nie było. Mamcia moja z wielkim strachem przeszukała wszystkie zakamarki tobołka, znalazła zaświadczenie o poradzie lekarskiej i natychmiast je wyrzuciła. Wracałyśmy bez nazwiska, imienia, niczyje, jadące nie wiadomo dokąd. I w taki perfidny sposób zacierano ślady popełnionej zbrodni na niewinnych matkach i dzieciach.

Wracamy tą samą trasą, jak przed kilkoma laty. Mijamy Czelabińsk, Ufę. Miasta rozbite, wyludnione i nędzne, ale nędza tych miast nie robi teraz na mnie wrażenia, uważam że tak ma być i z biedy nigdy się nie wyzwolę.

Ural – piękne góry, mieniące się różnymi barwami, bo to już jesień. Na polanach stada saren i dzikiej zwierzyny. Piękno natury nie jest w stanie zasłonić koszmarnej naszej nędzy i w dalszym ciągu niepewnego jutra.

Siedząc wieczorem przy okienku wagonu, przyglądałam się mijanym osiedlom, gdzie w domach paliło się światło, a cieniutka smuga dymu mówiła o tym, że gotuje się kolacja. Wtedy ogarniała mnie wielka nostalgia i zazdrościłam ludziom mieszkającym w tych chatkach, ciepła, przytulności, rodziny i kolacji, a ja nie miałam domu. Do dziś, jadąc pociągiem i patrząc wieczorem na mijane miejscowości ogarnia mnie strach i obawa, czy ja na pewno mam dom. Mam i za to dziękuję Stwórcy.

Jedziemy krócej, mniej długich postojów. W dalszym ciągu niewiele jest do jedzenia, ale do głodu przyzwyczaiłam się, żołądek skurczył się i nie odczuwam potrzeby jedzenia.

Ktoś w wagonie ułożył piosenkę, została podchwycona i wszyscy śpiewali:

*Żegnajcie stepy, sybirskie stepy
Coście niewdzięcznie przyjęły nas
I ty piołunie z korzeniami wrywany*

Pora już od was odejść, najwyższy czas.

Wracamy dumni żeśmy wytrwali,

Że nas nie zdeptał sowiecki but.

Żeśmy polskimi panami zostali

a nie przestępcami jak chciał nasz kat.

Za Uralem na Ukrainie wagonów ubywa, zostają odczepiane, a my jedziemy dalej. Nie znamy miejsca przeznaczenia. Nikt z obsługi transportu nie chce z nami rozmawiać.

W końcu wagon nasz dotarł do celu, do miejscowości Żaźków pod Kijowem. Miasteczko kompletnie rozbite łącznie z dworcem. W tej miejscowości przed wojną była cukrownia, ale po tej cukrowni pozostał tylko ślad w postaci szczątków murów i wysokiego komina.

Na stację przyjeżdża przedstawiciel cukrowni i już bez krzyku każe wsiadać do podstawionych ciężarowych samochodów które wiozą nas do przyfabrycznego baraku. Tu będziecie mieszkać – mówi wysłannik cukrowni – i będziecie wspólnie z nami odbudowywać cukrownię. Polska nie jest jeszcze wolna, na jej terenie trwa wojna z Niemcami. Niemcy na pewno zostaną pokonane, bo w tych walkach bierze udział wasz dzielny polski żołnierz. Już nie jesteście zesłańcami tylko wolnymi ludźmi czekającymi na powrót do Ojczyzny. Później, jak się wyjaśniło, był to Ukraińiec polskiego pochodzenia. Znowu radość, że jesteśmy wolni, a nie „psy pany”.

Wchodzimy do baraku, gdzie dużo żelaznych łóżek, rzędami ustawionych, a na środku blaszany piecyk tak zwana koza, która nie jest w stanie ogrzać całego baraku.

Przy baraku jest stołówka, otrzymujemy trzy razy dziennie posiłki. Dorośli idą do pracy, oczywiście kto może, ale prawie nikt nie może pracować, bo jest późna jesień, a ubrać nie ma się w co, jak również brak sił do pracy.

My dzieci (a właściwie już nie dzieci, w normalnych warunkach byłaby to dorastająca młodzież 14-15 letnia, ale, że nie wyrosnięte, wychudzone, więc dzieci) nic nie robiliśmy, gdyż nawet nie było w czym wyjść na zewnątrz baraku. Od moich wielkich butów podpadały podeszwy.

Nie umiem się śmiać, cieszyć, czuję się dorosłym, małym starcem, dla którego brak jest miejsca na świecie.

Znowu zaczynają się choroby: biegunka, wszawica, odnawiają się wrzody na rękach i nogach, a pluskwy tak dokuczają, że nie można w nocy spać.

W baraku mieszka około 48 osób, są to kobiety i dzieci.

I tak: Burczyńska z czwórką dzieci, Rzepecka z Małgosią i Rafałem, Brodzikowa, Jagasowa, Jakubowska, Wojciechowska, Gajkowa, Jasińska z synem (?), Panachidowa z trzema córkami, Sperkaczowa, Zaliwska, Andrusiewicz, Pogorzelska z dziećmi, Dreslerowa, Suchecka, Podwyszyńska z małą Romcią, Kruszewska.

(Jeśli kogokolwiek pominięłam i nie umieściłam na tej liście, proszę dopisać.)

Z marazmu, beznadziejności i nudy wrywa nas pani Rzepecka, doktor nauk humanistycznych. Pracę doktorską obroniła tuż przed wojną w 1939 r. na Uniwersytecie Lwowskim. Organizuje szkołę. Wydziela kącik w baraku. Od władz miejscowych dostaje pozwolenie na prowadzenie szkoły. Zaopatruje nas w ołówki i skrawki papieru.

Zaczynają się lekcje, jak w prawdziwej szkole. Chodząc do szkoły zdają sobie sprawę, jak mam olbrzymie braki z zakresu wiedzy szkoły powszechnej. Jestem zachwycona p. Rzepecką, jej dużą wiedzą i sposobem nauczania. Chłonę każde jej słowo i pilnie się uczę.

Wielkim wydarzeniem były odwiedziny p. Michotka, nie wiem skąd przyjeżdżał, ale przychodząc do nas niósł na

plecach akordeon. Siadał, śpiewał i grał różne ballady, romanse, dumki, tęskne melodie za tym, co minęło i nigdy nie wróci.

W baraku pod Kijowem wegetowaliśmy jeszcze cały rok. Od września 1945 roku do września 1946 roku. W pochmurny i deszczowy dzień przychodzi kobieta do mojej mamy i mówi, że mamy się zbierać, wyjeżdżamy do Tłumacza. Już nie ma co pakować, bo nawet te podarte łachmany nie nadają się do podróży, ale jedziemy. Znowu w bydlęcym wagonie. Teraz już na pewno do Stanisławowa.

Żegnając się, pani Rzepecka powiedziała mi: „ty dziecko się ucz, pamiętaj ucz się, bo tylko w życiu nauka się liczy”. Te słowa głęboko zapadły mi w serce bo po przyjeździe do kraju pierwsze kroki skierowałam do szkoły. I zawsze przez całe moje życie najważniejsza była nauka, więc uczyłam się.

W Stanisławowie na stacji czeka na nas kuzynka, zabiera do swojego domu na Majzlach. Tam odpoczywamy,

ubierają nas, odkarmiają i znowu w drogę, tym razem do Polski.

Transport, którym jedziemy, konwojuje p. Bułkowska. Jesteśmy w dalszym ciągu bez dokumentów. Podróż jest krótka i nie uciążliwa. Przyjeżdżamy do Wielisławia koło Polanicy Zdroju na początku grudnia 1946 roku.

Koniec

Od Autorki:

Dziękuję serdecznie kol. Helenie Bilińskiej (kochanej Luce) – za to, że swoim dużym doświadczeniem pedagogicznym potrafiła spowodować to, że zaczęłam pisać te wspomnienia.

Synom moim za korektę i wprowadzenie tych wspomnień do komputera.

Najstarszemu wnukowi – Pawłowi, za to, że dopingował mnie do pisania, mówiąc: „babciu pisz, bo nie tylko my mamy wiedzieć, co przeżyłaś w czasie drugiej wojny światowej, ale niech się dowiedzą wszyscy ludzie”.

Tłumacki Holocaust

Sprawiedliwi, prawi – nie Żydzi

Shlomo Blond

Ciąg dalszy wyjątków z książki „The Righte ans Gentiles”, wyd. w Izraelu w 1970 r.

Maks Hartenstein

Przed drugą wojną światową rodzina Hartensteinów zajmowała się rolnictwem. Mieli oni sporo dobrej ziemi i jako rolnicy nie musieli w początkowym okresie okupacji niemieckiej przebywać w getcie. Tak było do zniszczenia w 1942 r. Po tym terminie Niemcy wydali rozporządzenie, że Żydzi-rolnicy wraz z rodzinami muszą opuścić swoje gospodarstwa i zamieszkać w getcie. Ukraińska policja zaczęła więc spędzać Żydów z wiosek do getta. Pod koniec sierpnia znalazła się w nim również rodzina Hartensteinów.

Maks Hartenstein znalazł zatrudnienie w zakładzie fotograficznym Edwarda Kapanowskiego, który był jego starszym kolegą gimnazjalnym. Maks w dzień przebywał w zakładzie, a na noc wracał do getta. W przypadkach, kiedy spodziewano się w łapanek, wówczas na noc pozostawał w pracowni. We wrześniu jego matka i siostra zostały zatrzymane i zamordowane. Po tym tragicznym wydarzeniu Hartenstein postanowił nie wracać na noc do getta i za zgodą E. Kapanowskiego nocował w zakładzie. Kiedy jego pobyt tam zaczął budzić podejrzenia, schronił się do domu Somerfreunda. Dom ten był już przez Niemców opieczętowany. Z niego mógł obserwować jak gestapowcy i ukraińska policja wyłapują Żydów. Pewnej nocy opuścił kryjówkę i udał się do schronu, który kiedyś pomagał budować w domu Mendla Schwechtera. Schron ów znajdował się poza gettem. Nękanie głodem – będąc już na granicy śmierci głodowej – Hartenstein udał się do domu p. Tuzinkiewiczowej (nie właścicielki młyna), która go serdecznie przyjęła i nakarmiła. Później poszedł do p. Ostapowej, a na koniec do Janka Wrońskiego mieszkającego przy ulicy Grunwaldzkiej, któremu powiedział, że opuszcza Tłumacz. 13 września 1942 r. razem z siostrzenicą dr Steinberga z Otynii poszedł do Pałahicz. Towarzyszyli mu Janek Wroński i Tuzinkiewicz. Na stacji w Pałahiczach Wroński kupił im bilety do Stanisławowa. O

szóstej rano wsiedli do pociągu, w którym spotkali dwie tłumaczki: Bilińską i Jelinkową (Jelonek?) – ta druga była jego szkolną koleżanką. Porozmawiali nawet ze sobą, ale one przed nikim się z tym nie zdradziły. Przyjechawszy do Stanisławowa, Hartenstein pożegnał się z Steinberżanką i skierował swe kroki do domu swego dawnego nauczyciela z gimnazjum, profesora Smotera. U profesora ukrywał się około tygodnia, następnie pojechał do Krakowa, do swego przyjaciela o nazwisku Matuszyński. Po kilku dniach przyjaciel zaproponował mu wyjazd do Warszawy, gdyż jego dom w Krakowie znajdował się naprzeciw dowództwa SS, więc przechowywanie Żyda było wielce ryzykowne. Matuszyński dał mu listy polecające do swoich przyjaciół w Warszawie. U nich Hartenstein przebywał kilka dni. Gdy jednak gestapo zaczęło przeszukiwać dzielnicę, w której zamieszkał, powrócił do Krakowa.

Wówczas Matuszyński skierował go do majątku, którego właścicielem był niejaki Świdorski, zięć czołowego endeka Bojanowskiego. Tu Hartenstein podał się za polskiego patriotę poszukiwanego przez gestapo. Wyrobiono mu fałszywe dokumenty i jako Polak został przyjęty do polskiego ruchu podziemnego Armii Krajowej. W szeregach AK pozostawał aż do wyzwolenia tych terenów, a następnie wstąpił do Wojska Polskiego i do końca wojny walczył w jego szeregach przeciw Niemcom.

W 1948 r. wyjechał do Izraela, gdzie był oficerem lotnictwa.

Historia Maksa Hartensteina dowodzi, że był on jednym z tych, którzy wzięli los w swoje ręce i na przekór Niemcom szukali dla siebie ratunku nawet wówczas, gdy ostatni promyk nadziei zdawał się zniknąć. Niewątpliwie, gdyby pomocy nie udzieliło mu tylu życzliwych i uczciwych chrześcijan – nie przeżyłby tego.

Wspomnienia z czasów zagłady

Po drugiej wojnie światowej tłumaccy Żydzi nawiązali ze sobą kontakty i opowiadali o swoich przeżyciach w czasie Zagłady oraz o okolicznościach swego ocalenia.

Dr Philip Hudish wspominał, że gdy sytuacja zdrowotna w getcie stała się dramatyczna bo zabrakło żywności i lekarstw, to wówczas z pomocą pośpieszyli dwaj polscy lekarze dr Kazimierz Leśniakiewicz i dr Zenon Hoffman. Dr Leśniakiewicz jako ginekolog pomagał kobietom w getcie, natomiast dr Hoffman dostarczał lekarstw chorym Żydom i wspomagał ich finansowo. Dr Hudish mówił również z wdzięcznością o uratowaniu go przez chrześcijan.

Karol Zawadzki (Hartenstein) opowiadał, że trzej tłumaczenie, a mianowicie Stanisław Mostowiak, Agopsowicz i Czohara (właściciel piekarni), uważani swego czasu za antysemitów, podczas okupacji niemieckiej przerzucali worki z chlebem przez ogrodzenie do getta, pomagając w ten sposób głodującym Żydom. Natomiast Ukrainiec nazwiskiem Chałupinka, który współpracował z Niemcami, wchodził do getta w mundurze i zostawiał woreczki z cukrem. Karol Zawadzki mówił też o tym, że kiedy uciekł z tłumackiego getta i przyjechał do Stanisławowa, to na dworcu kolejowym

natknął się na Stefana Pławiuka, syna księdza greko-katolickiego. Stefan Pławiuk rozpoznał go naturalnie, ale przeszedł obok nie zawiadamiając o tym policji.

Yudl Feuer relacjonował wstrząsającą historię. Po łapanie w tłumackim getcie 70 Żydów zastrzelono na cmentarzu żydowskim. Po egzekucji Niemcy odeszli zostawiając ukraińską policję do pilnowania, żeby przypadkiem jakiś nie dobitny Żyd nie wydostał się z grobu. Tymczasem dwoje małych dzieci przeżyło egzekucję, wyczołgały się z dołu umazane krwią i przerażone. Jeszcze bardziej przestraszyły się, kiedy zobaczyły przed sobą policjanta. Ale zamiast „dokończyć robotę”, ten Ukrainiec kazał im pozostać w dole, a w nocy wrócić do getta. Dzieci wyraźnie słyszały jak powiedział, że nie chce rozlewać niewinnej krwi żydowskiej.

Od Redakcji:

Na tym kończymy druk fragmentów książki „The Rightans Gentiles” autorstwa Shlomo Blonda, absolwenta gimnazjum w Tłumaczu. Książkę tę autor poświęcił pamięci ludzi, którzy w niehumanicznym czasie holocaustu narażali życie, ratując skazanych na zagładę współobywateli, znajomych i przyjaciół pochodzenia żydowskiego.

Wiadomości z życia tłumaczan

Przeżyjmy to jeszcze raz (c.d.)

Spotkania i zjazdy Tłumaczan 1945 – 1995

Janina Petrus-Duszyńska

5-9 czerwca 1985 roku

Karpacz

Zgodnie ze zobowiązaniem w Mostowie, spotkanie to zorganizowała Danuta Tabińska-Juhasz, a że był to największy zjazd w ciągu całego powojennego pięćdziesięciolecia, wymagał on od organizatorki ogromnego wysiłku, inwencji i poświęcenia. Z zadania tego wywiązała się znakomicie.

Przy urządzaniu i przygotowaniu spotkania pomagali dzielnie: Jerzy Rostopowicz, Kazimierz Piórecki, Józef Duszyński i Tadeusz Kłonowski. Szczególnie dużo wysiłku włożyły w sprawę, zajmując się sprawami kulinarnymi w „dzień i w noc”: Maria Korneluk-Petrus, Stanisława Korneluk-Korybska, Janina Petrus-Duszyńska i Mirosława Seidler-Strahl.

Bardzo dużo pracy musiała organizatorka wykonać sama na długo przed rozpoczęciem zjazdu. Już na wiosnę 1985 roku wysłała 211 zaproszeń do wszystkich Tłumaczan mieszkających w kraju i zagranicą, których adresy były znane. Do zgłaszających swój udział w zjeździe wysłała potem zawiadomienie-instrukcję, w której podała informacje, jak dojechać do „Juhaszówki” w Karpaczu, załatwić sprawę zakwaterowania, wyżywienia itp. Instrukcja kończyła się prośbą o przywiezienie dużego zapasu humoru, siły i optymizmu oraz różnego rodzaju pamiątek.

W zjeździe wzięło udział 108 osób! Byli to: Kajetan i Józefa z Bilińskich, Agopsowiczowie z córką, zięciem i wnuczką, Zachariasz Agopsowicz, Zbigniew Bojczuk z żoną, Krystyna Bojczuk-Marciniak z mężem, Helena Bilińska, Jadwiga Burczyńska-Storożenko, Helena Burczyńska-Nowak, dwie panie Burczyńskie, Lusja Bilińska-Thosz, Zygmunt Burczyński, Kazimierz Baranowski, Janina Białkowska-Pactwa, Józef Czohara, Irena Czupkiewicz, Jastębska, ks.

Roman Daca, Zbigniew Danczewicz, Stanisław Dyś, Maria Dębiec-Kasperowicz, Lidia Dołhańczuk-Bargiel, Lidia Dorosz-Imren Lehel z Węgier, Krystyna Gałdzicka, Zygmunt Gałdzicki, Bogumiła Hrapkowicz-Przybyło, Marian Haraszkiwicz, Tadeusz Hoffman z żoną, Stanisława Hoffman-Kożuchowska, ks. Lesław Jeżowski, Stanisława Józwiak-Czaplińska, Emilia Kaczorowska-Centkiewicz, Stefania Kadajska-Brzozowska, Maria Korneluk-Petrus, Stanisława Korneluk-Korybska, Karol Kraus, Zdzisław Kański, Marian Kasperski, Tadeusz Kłonowski, Zofia Kańska, Żaneta Lebzelter-Knobloch, Józefa Laner-Glisovic z Jugosławii, Maria Laner-Adamczyk, Jan Lipiński, Tadeusz Leśniak, Irena Leśniak-Dominik, Stefania Mańkowska, Józef Macalski, Tadeusz Magierski, Włodzimierz Masiewicz, Eugenia Mandyna-Trylska, Czesława Mandyna-Jednoróg, Edwin Misiński, Elwira Misińska-Siupka, prof. Maria Miarka-Ligeża, Jadwiga Matejko-Kołodziej, Krystyna Matejko-Nowakowska, Anna Mierzwińska-Korcowska, Karol Mytnik, Michał Nikosiewicz, Czesław Ostropol-ski, Krystyna Ossowska-Korta, Edward Panek, Bolesław Petrus, Janina Petrus-Duszyńska z mężem, Józef Pawłowski, Józefa Panachida-Skowron, Anna Panachida-Bocheńska, Irena Pelech-Ruszel, Stefania Piotrowicz-Pytłak, Kazimierz Piórecki, Emil Piotrowski, Celina Rachwał-Chrzanowska, Jerzy Rostopowicz, Marian Rolewicz, Adzia Słótarzka-Marcinowska, Lidia Starzyńska, Mirosława Seidler Strahl, Janina Sokołowska-Kubica, Ziuta Starzycka-Weberbauer, Emilia Śniechowska-Bilut, Jan Tabiński z żoną, Danuta Tabińska-Juhasz, Mirosława Tabińska-Galant, Anna Tomyń-Jasińska, Romuald Tuzinkiewicz, Janina Urbaniak, Helena Urbaniak-Nowicka, Wiktoria Wiszniewska, Krystyna Wiszniewska-Kurzawa.

W „Juhaszówce” zakwaterowano 30 osób, reszta miała zamówione noclegi w sąsiednich domkach prywatnych.

Wielu zawiadomionych o spotkaniu nie mogło przyjechać, przede wszystkim ze względów zdrowotnych, przysłali jednak w listach i telegramach pozdrowienia wraz z życzeniami.

Zjazd w Karpaczu był największy z dotychczasowych nie tylko z powodu liczby osób w nim uczestniczących, ale także ze



Tłumaczanie przed kościołem w Karpaczu

względu na czas trwania i ilość wspaniałych, dobrze zorganizowanych imprez.

W ciągu całego pierwszego dnia witano przybywających uczestników tłumackim barszczem i pierogami. Oto co na ten temat pisała Stanisława Józwiak-Czaplińska: „... Atmosfera była przemiła, dobiliśmy do właściwego portu. Witamy się wzajemnie, z trudem poznaję niektóre twarze. Okrutny czas bezlitośnie naznaczył piękne i młode niegdyś oblicza. Cóż, nieodwracalne prawo przyrody... Zdziwienie, uśmiechy, wybuchy radości. Częstowanie tłumackim barszczem i pierogami, swojsko, przemiłe. Wszystko to nad szumiącym potokiem, wartko płynącym ze zbocza góry – przy stołach otoczonych prostymi „piastowskimi” ławami pod rozłożystą lipą, która zaprasza nas do odpoczynku – jak słynna lipa z Czarnolasu. Chętnie korzystamy z jej cienia. Zajadamy tłumackie smakołyki, które nam podają co chwilę miłe panie, niektóre poznaję, inne ze zdziwieniem witam, jakby z odrobiną wątpliwości w autentyczność ich nazwisk.”

W miłej atmosferze wzajemnego rozpoznawania się i wspominań lat młodości szybko minął czas, a rozmowy trwały do późnych godzin nocnych.

Drugi dzień zjazdu rozpoczął się udziałem w uroczystościach Święta Bożego Ciała w miejscowym kościele. W procesji szła cała nasza grupa tuż za baldachimem, który osłaniał ks. Lesława Jeżowskiego – tłumaczanina, kroczącego dostojnie w złotym blasku przeznajświętszej hostii. „Myślami jesteśmy – pisała Józwiak-Czaplińska – w naszym dalekim rodzinnym miasteczku. Wspólnie śpiewanymi pieśniami zanosimy modły do Boga, prosząc o błogosławieństwo szczególnie dla tych, którzy nie mogą brać udziału w tej uroczystości. Po zakończeniu procesji, starym tłumackim zwyczajem modlimy się u stóp Ołtarza Matki Boskiej Częstochowskiej. Z trudem przypominamy sobie miejsca czterech ołtarzy w Tłumaczu, oraz księdza prowadzącego ostatnią procesję w Tłumaczu.”

Po powrocie z kościoła zebrano się pod gościnną lipą przed domem Juhaszów, prowadząc w grupach ożywione rozmowy. A tymczasem w „Juhaszówce” zasłane obrusami stoły – w salach na trzech poziomach, ozdobionych trofeami myśliwskimi, zestawami fotografii Tłumacza i różnymi dowcipnymi napisami jak np. „Bilety do nabycia na pocztę w Tłumaczu” – czekały na gości z obiadem przygotowanym przez najmłodsze uczestniczki zjazdu.

Organizatorka spotkania – Danuta Tabińska-Juhasz serdecznie powitała przybyłych i zaproponowała uczenie chwilą ciszy tych,

którzy odeszli na zawsze od nas. Następnie odczytała przysłane na zjazd listy i telegramy z serdecznymi życzeniami i pozdrowieniami.

Po obiedzie znowu były spotkania i niekończące rozmowy pod gościnną lipą, a wieczorem zgromadzono się w „Juhaszówce”, gdzie na wniosek ks. Lesława Jeżowskiego odbyło się „publiczne” przedstawianie wszystkich uczestników i zapoznano się ze sprawozdaniem z poprzedniego zjazdu w Mostowie. Następnie Michał Nikosiewicz wygłosił opracowany przez siebie odczyt pt. „Krótka historia powiatu i miasta Tłumacz od pradziejów do końca pierwszej wojny światowej”. Po części „oficjalnej”, kto miał chęć – a byli tacy – ten udawał się do swoich

„kwater” na dalsze „pogaduszki” lub do miejscowej restauracji na tańce.

W trzecim dniu zjazdu po śniadaniu, mimo pochmurnej pogody, część odważnych poszła z ks. Jeżowskim na Śnieżkę, a reszta udała się autobusem do Białego Jaru, aby zwiedzić wybudowaną po wojnie skocznię narciarską, odwiedzaną teraz przeważnie przez turystów niemieckich. Smaczny i obfity obiad zjedzono w hotelu „Orlinek” – czemu towarzyszyła tłumiąca radość spotkania refleksja: tutaj hitlerowcy przywieźli dzieci polskie z Zamojszczyzny, aby je germanizować. Po obiedzie, autobusem i autem organizatorki, powrócono w deszczu do Karpacza.

Wieczorem znów zebrano się w rodzinnej „Juhaszówce” na kolejne „spotkanie z Tłumaczem”, na które Michał Nikosiewicz przygotował około 350 slajdów przedstawiających miasto i ludzi w nim mieszkających. O atmosferze tego wieczoru tak pisała kol. Józwiak-Czaplińska: „... uciszają się rozmowy. Chwile oczekiwania i ukazują się bardzo znane, lecz przyćmione zasłoną czasu obrazy miasta naszej młodości. Budynek „Sokoła” (spalony przez Niemców, już odbudowany), kościół (od kilku lat rozebrany), budynek gimnazjum (spalony – rozebrany), filia gimnazjum przy kościele (rozebrana), budynek seminarium, stara cerkiew (rozebrana, już przed wojną, gdyż waliła się), nowa prowizoryczna cerkiew-kaplica (obecnie prawosławna), ulice, domy, rynek, park, figura M. Boskiej w parku; błąkamy się po Tłumaczu, oglądając różne ulubione przez nas miejsca. Jest późno, kol. Nikosiewicz pyta, czy już przerwać wyświetlanie. Nie – prosimy dalej. Przyszła kolej na zdjęcia grupowe, uroczystości, organizacje, osoby. Kol. Nikosiewicz objaśnia, wymienia nazwiska. Starsi reagują uwagami i głośnym zachwytem na widok swoich bliskich, dobrych znajomych. Byliśmy tak blisko nich. Jest późno, czas kończyć sen o Tłumaczu, choć pozostało jeszcze około 120 przeźroczy niewyświetlonych. Rozchodzimy się. Słyszemy po drodze dyskusje na temat oglądanych zdjęć. Noc sprzyja utrwaleniu wizualnych wrażeń. Zabierzemy je ze sobą na zawsze.”

Czwartego dnia zjazdu pogoda już wyjątkowo nie sprzyjała wycieczkom, było chłodno, pochmurno i deszczowo, odważni poszli jednak do kościoła św. Anny i pobliskiego źródła. Legenda głosi, że kto 7 razy obiegnie kościółek i napije się wody ze źródła, tego marzenia i pragnienia się spełnią. W drodze powrotnej zbierano drewno na wieczorne ognisko.

Obiad jak zwykle zjedzono w „Juhaszówce”, a wieczorem nic nie mogło przeszkodzić w rozpaleniu ogniska, którego przebieg tak opisała kol. Józwiak-Czaplińska: „... okrywamy się kocami, siadamy na prowizorycznych ławkach z pni i desek, ognisko dymi, płonie. Przygotowano słowa piosenek, które śpiewamy przy ognisku, prowadzi kol. Irena Pełech-Ruszel, okrzyknięta „Izaurą”. Jedna pieśń za drugą, harcerskie i inne, jest coraz ciemniej, słów na kartkach nie widać już, ale słowa znamy z dawnych lat, znowu jesteśmy harcerkami i harcerzami na obozie, namioty i szałas są nieco wyżej, a w dole Dniestr szumi groźnie, a może Prut. „Płonie ognisko i szumią knieje”, jesteśmy jakby w lesie, marzą się obozowe przeżycia, alarmy – tamte czasy – przecież te same postacie siedzą przy ognisku, co niedługo. Twarzy w mroku nocy dokładnie nie widać, ale jesteśmy pewni, że to nasi drużynowi, opiekunowie, koleżanki i koledzy.

Przerwa na pieczoną na ognisku kiełbasę z domowym chlebem – bardzo smakuje. Jest teraz przerwa – okazja na recytacje, dowcipy (Tadzio Hoffman), gromkie brawa, śmiech, gwar. Jest nas tak dużo, że potworzyły się grupy tętniące głośnymi rozmowami, wspaniała bez troski czas, kończy się ognisko pieśnią „Idzie noc”.

Ostatni już, piąty dzień spotkania rozpoczął się mszą św. koncelebrowaną przez ks. dr prałata Romana Dacę i ks. Lesława Jeżowskiego; obaj tłumaczenie. Lekcję na początku czytał tłumacz Marian Rolewicz, a do mszy służyli synowie tłumaczki Stanisławy Korneluk-Korybskiej. Wspaniałym głosem ks. Dacy rozbrzmiewała świątynia, a śpiewane przez uczestników pieśni brzmiały znakomicie. Z oczyma pełnymi łez słuchano kazania rozpoczętego słowami świętego Starego Testamentu „Zgromadzę Was ze wszystkich krańców ziemi”. Wiele wzruszeń i wspomnień wywołały wśród zebranych dalsze słowa kazania: „Patrząc w tej chwili na Was, drodzy bracia i siostry, zgromadzonych w nabożnym skupieniu wokół tego ołtarza eucharystycznego, rozradowało się serce moje tak, że ze wzruszenia język mi skacze i płacze, że naprawdę w tym radosnym podnieceniu mówić nie tylko nie mogę, ale nie umiem, i z wielkim trudem wydobywam z siebie niemal każde słowo, które jest pełne miłości, pokrzepienia, przywiązania i braterskiego oddania, nabrzmiałe wspomnieniami z lat młodości, ... kiedy to niemal każdy z nas tu obecnych, jako młode pachole, z harcerską laską w dłoni, plecakiem na ramieniu, w kapelusiku na skroniach, świszcząc i śpiewając, mimo że czasem burza huczała koło nas..., ale nie straszny był dla nas burzy czas... szedł w pole i bujał jak okręt na morzu wśród tych pagórków leśnych i łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Dniestrem rozciągniętych...”

Boże, jak to było dawno, jak bardzo dawno, jak bardzo dawno! Tyle już lat minęło, a wszystko jak żywe staje w pamięci!

Dziś, po tylu latach rozproszenia niemal po całym świecie, pełni tęsknoty za ziemią rodzinną i wspomnieniami z lat naszej młodości,

usłyszeliśmy ku pokrzepieniu serc, radosne słowa zwołania nas na ten Zjazd Koleżeński.”

Po mszy ks. Jeżowski od ołtarza powiedział: „... w młodym pokoleniu pokładamy nadzieję kontynuowania spotkań tłumackiej rodziny, aby zjazdy stały się tradycją podtrzymywaną przez odmłodzoną rodzinę.” Potem spotkano się po raz ostatni w „Juhaszówce” na wspólnym obiedzie, podczas którego składano serdeczne podziękowania pp. Juhaszom za ogromny wkład pracy w zorganizowanie tego niezapomnianego zjazdu. Żegnając się, życzyli sobie dużo szczęścia i zdrowia i wyrażano nadzieję ponownego spotkania po młodość, uśmiech i łzy radości.

Po zjeździe na ręce organizatorki napłynęło wiele listów, w których czytamy m.in.: Alicja Żurawska z Gdańska „... Spotkanie wywarło na mnie wielkie wrażenie. Atmosfera była bardzo sympatyczna. Spotkanie to będę długo bardzo miło wspominać. Były to wielkie dni. Życzę takich spotkań wiele.” Irena Pełech-Ruszel „... to było bardzo dobre, mało, to było wspaniałe, podtrzymywało niektórych staruszków na duchu i wlało w ich serce trochę słodkiego miodu, wszyscy odjechali zadowoleni i sytych wrażeń, pozostanie nam wszystkim w pamięci długo, długo. Daliście z mężem z siebie ogromnie dużo pracy i nieprzespanych nocy.” Marian Rolewicz „... pragnę jeszcze raz podziękować za zorganizowanie tego spotkania i umożliwienia nam przeżycia miłych wspomnień z lat młodości. Wraz z ks. R. Dacą wspominaliśmy ze wzruszeniem miłe chwile.” Anna Mierzińska-Korczowska: „Wciąż żyję jeszcze wspomnieniami miłych chwil, jakie dzięki Tobie i Twemu mężowi mogłam przeżyć.” Lusja Śniechowska-Bilut: „... chcę ci podziękować za umożliwienie przeżycia tylu pięknych i niezapomnianych wrażeń na zjeździe; długo to wszystko zostanie w pamięci, starczy tego do następnego spotkania.” Janina Urbaniak i Helena Urbaniak-Nowicka „... Zjazd zostanie długo w naszej pamięci.” Janina Petrus-Duszyńska „... pod wrażeniem Zjazdu jeszcze długo będę. Niezapomniany pobyt u Was śni mi się co dzień. Nie ma dnia bez wspomnień o Karpaczu – w domu, w pracy. Nasze wrażenia, odczucia są wspaniałe.” Stefania Mańkowska „... sercem i myślami tkwię nadal wśród radosnego rozgwaru zgromadzonych – bliskich sobie osób i snię, że jestem w pięknym Karpaczu.” Józefa i Kajetan Agopsowiczowie „... najserdeczniejsze podziękowanie za zorganizowanie cudownej imprezy, jaką było spotkanie koleżeńskie, niekiedy po 40 latach i więcej. Było cudownie.”

Tak samo myśleli i czuli wszyscy uczestnicy spotkania w Karpaczu, co potwierdza, że zjazdy takie mają sens głębszy. Zbliżają, łączą ludzi, którzy kiedyś – w dzieciństwie, młodości, w szkole i w pracy – żyli razem w jednej małej miejscowości, wspólnie przeżywali dobre i złe chwile. Teraz chcą wrócić i wracają do przeszłości. Należy im to ułatwić.

(c.d.n.)

Nasza wycieczka

Anna Panachida-Bocheńska
Danuta Tabińska-Juhasz

Wielce zawiedzione, że planowana w Kołobrzegu wycieczka do Tłumacza nie doszła do skutku z powodu znikomej ilości chętnych, skorzystałyśmy z organizowanej w lipcu (4 VII-12 VII 98) wycieczki objazdowej po Kresach. Trasę i zarys historyczny zwiedzanych miejscowości podałyśmy w ostatnim numerze „ZT”. Organizatorami wycieczki byli: Biuro Turystyczne z Poznania i Klub TMLiKPW „Orląt Lwowskich” Wrocław Sepolno.

Wycieczkę tę uważamy za nadzwyczaj udaną, a przede wszystkim bardzo doksztalającą, pomimo, że towarzyszyły nam przez cały tydzień ulewne deszcze i niespotykane w tym okresie zimno, na które

nie byliśmy przygotowani. Wróciliśmy jednak pełni wrażeń i nawet bez kataru. Na czterdzieści parę wycieczkowiczów połowę stanowili mieszkańcy Poznania i okolic, oraz druga połowa to nasi wrocławscy miłośnicy Lwowa i Kresów.

Przeważali nauczyciele historii, poloniści, rodowici lwowiacy i kresowianie oraz ci ciekawi kraju swoich korzeni. Jesteśmy też zadowolone z dobrej organizacji wycieczki w tych przecież niełatwych warunkach ekonomicznych Ukrainy.

Pilot wycieczki p. Krystyna Liminowicz z wykształcenia polonistka, była nadzwyczaj dobrze przygotowana. W czasie jazdy serwowala nam nie tylko wiadomości historyczne i geograficzne, ale również wszystko to, co w naszej literaturze i poezji było napisane na temat zwiedzanych zabytków i miejscowości.

Oprócz niej mieliśmy zawodowych przewodników we Lwowie i Krzemieńcu. W ostatnich latach miałam możliwość być we Lwowie

wiele razy, jednak dzięki polskiej przewodniczce p. Jadwidze Smirnowej odczułam, jak Lwów przemówił do mnie swoją wspaniałą polską wielowiekową historią.

Po parodniowym zwiedzaniu Lwowa wyruszyliśmy w kierunku wschodnim, zwiedzając pałac w Olesku, gdzie urodził się Jan III Sobieski, przepiękne Podhorce, następnie zwiedziliśmy prawosławny, kapiący od złota, zespół cerkwi w Poczajowie. Nocleg w Krzemieńcu w polskich domach, cały dzień zwiedzania. Duże wrażenie robi zespół budynków sławnego krzemienieckiego liceum popadającego teraz w ruinę.

Z Wołynia wjeżdżamy w nasze Podole: Tarnopol, Trembowla, Czortków do Kamieńca Podolskiego. Piękna, malownicza kraina i miasteczka i kościoły i garstki starych Polaków i rozmowy z nimi o tym, jak walczyli o zwrot kościołów i jak je remontowali. Wszędzie straszna bieda, aż żal tych ludzi, którzy tak wiele przeżyli, serce się ściska nad ich dolą.

Kamieniec Podolski był dla wielu z nas wielkim zaskoczeniem. To duże, piękne miasto o nowoczesnej zabudowie. Warto było też zobaczyć sławne twierdze Kamieńca Podolskiego, Chocimia, malowniczo wzniesione nad Dniestrem, jakby żywcem wyjęte z Trylogii Sienkiewicza. Następnie to już było Pokucie, Kosów, Worochta, Jaremcze. Niezapomniane widoki, ale i brak huculskiego folkloru, a szkoda. Pamiętamy go przecież w postaci pięknej wzorzystej ceramiki, wyrobów z drzewa, skóry, kilimów. Gdzie to wszystko się podziało? Czy ta komuna odczuliła ludzi tożsamości i pracy?

Wykorzystując to, że młodsza część wycieczki chciała w Jaremczu wejść na Howerłę, mogliśmy się odłączyć na jeden dzień do Tłumacza.

Z samego rana młody, przystojny Hucul zawiązał nas swoim starym Moskwiczem za 40\$ do Tłumacza. Czekala tu na nas Nadia Nima-Sak (przedwojenna sąsiadka Panachidów) w swym małym domku na końcu ul. Słowackiego. Tłumacz powitał nas słoneczną pogodą i był to jedyny dzień bez deszczu w czasie całej wycieczki. Nadia bardzo poprawną polszczyzną opowiedziała nam wszystkie nowiny tłumackie. Z bijącym sercem, z aparatem fotograficznym w ręku wyruszyliśmy „w Tłumacz” ulicą Słowackiego.

Pierwszy dom to Panachidów.

Nusia:

Znów minęło 7 lat od czasu, kiedy w 1991 r. po pięćdziesięciu latach zobaczyłam nasz rodzinny dom w Tłumaczu. Tym razem nie łomotało mi tak serce jak poprzednio, po sześciu latach sybirskiej tułaczki. Przywitałam się z jego obecną mieszkanką – Ukrainką, która była bardzo miła. Danusia zaraz zrobiła zdjęcie, jak przytulam się do ściany mego domku. Od frontu zaś musiałam trochę postać przy oknie i powspominać. Z tego bowiem okna wyglądała kiedyś oświetlona choinka i wyłaniała się postać dziewczynki w ogródku, która wyraźnie odbijała się na śniegu i śpiewała „Wśród nocnej ciszy”. Nasz kochany Ojciec wracał ze służby, miał oszronione wąsy, całował mnie i siostrę Cesię, matka przygotowywała kolację wigilijną. Ach, jakie to były cudowne, niezapomniane chwile w tym właśnie domu przeżyte.

Danka:

Robiłam po kolei zdjęcia domów przy ul. Słowackiego: tam, gdzie mieszkała Cesia Mandyna (dom Burczyńskich). Cofnięty od drogi z małą werandą, dom Fajerów, gdzie za pierwszych Sowieców kazano nam się przeprowadzić z dużego domu do jednego pokoju z kuchnią. Mieszkałam tam z mamą, babcią i siostrą. Obok duży, piękny kiedyś dom Mytników nie do poznania. Nie ma drewnianego ganku, ani wysokich świerków przed domem, ani altanki w ogrodzie, gdzie bawiłyśmy się z Luką, szyjąc sukienki dla lalek ze ścinków materiałów przynoszonych przez pracującą w sowieckim artylu moją matkę. Naprzeciw dom Hyndyńskich, gdzie mieszkała rodzina Kańskich, a Hanka z Cesią i Luką należały do naszej paczki.

Dalej robiłam zdjęcia domu Kociuszkowej, Hrapkowiczów (na okładce ZT Nr 2/98). Niestety bujna zieleń w ogrodach oraz drzewa rosnące przy ulicy zasłaniają domy i trudno je ująć w obiektywie.

Dochodząc do Sokoła zdjęłam małe, parterowe domki, gdzie mieszkali Olejnicy i Tomynowie. U wylotu ul. Słowackiego, między budynkiem gminy, a domem Dolaisowej została wybudowana cerkiew prawosławna*. Otoczona białym ogrodzeniem, w którym mieści się mała dzwonnica i kapliczka. Cerkiew stylowa, biała, błyszcząca srebrną blachą, stoi po przekątnej Sokoła. Następną cerkiew grekokatolicką wybudowano za dawną pocztą, dziś za domem towarowym na rogu ul. Kościelnej. Ta cerkiew była niewykończona. Jest tak olbrzymia, że tylna jej ściana wychodzi na ul. Grunwaldzką.

Dobrze, że mieszkańcy Tłumacza znaleźli takie kompromisowe rozwiązanie dla podziałów religijnych, budując równocześnie dwie świątynie. Zmieniły one jednak zupełnie wygląd urbanistyczny miasta.

Zapušczyliśmy się jeszcze kawałek w ul. ks. Sawy, gdzie przed wyjazdem na Ziemię Odzyskaną mieszkałam w domu greko-kat. ks. Jaworskiego.

Wracałyśmy do Nadi ulicami Grunwaldzką i Wierzbową, które obecnie są przelotowe, od stawu na Horodenkę. Tam interesowała mnie domostwo Sokołowskich, gdzie mieszkając w czasie okupacji niemieckiej, dzieliłyśmy z nimi wspólne podwórce i ogród.

Zostały tylko 2 drzewa z tzw. zagajnika, po których tak sprawnie kiedyś wspinałam się rozciągając pozostawione przez wojsko druty telefoniczne. Nadia czekała z obiadem przed domem w ogrodzie. Siedziałyśmy z nogami w miednicy (po wielogodzinnej wędrówce) śpiewając do wieczora różne piosenki z naszej młodości, polskie i ukraińskie. Doszła do nas od stawu Joasia Wasylyszyn, obecnie – Iwanka Nowicka, więc wspomnieniom i śmiechom nie było końca.

Rano żegnałyśmy Tłumacz z za szyb samochodu, gdyż syn Nadi był uprzejmy odwieźć nas na Górkę do Stanisławowa. Ostatni przystanek w Tłumaczu był nad stawem (zdjęcie na pierwszej stronie ostatniego ZT, do strof wiersza o stawie H. Wilczewskiego).

W Stanisławowie przy kościele Chrystusa Króla byłyśmy umówione z naszym wycieczkowym autokarem. Tymczasem Prezes Wanda Sergiejowa pokazuje nam nowowbudowany Dom Polski. Mają się czym pochwalić – tu już całkiem Europa: zkomputeryzowana biblioteka, gabinet lekarsko-apteczny, polskie klasy, na górze pokoje gościnne z prysznicami, a na parterze kuchnia i jadalnia. Doba w tych komfortowych warunkach kosztowała 15\$ z dobrym całodziennym wyżywieniem.

Ogólnopolski Oddział Tłumaczan zebrał 1000 zł dla polskich klas w Stanisławowie, tę właśnie sumę przewiozła tutaj Nusia i wpłaciła skarbnikowi Towarzystwa (patrz list dziękczynny dzieci i zdjęcie klasy publikowane w ostatnim ZT). Nasze pieniądze wystarczyły na meble jednej klasy. Bardzo to przyjemne jest dla wszystkich tłumackich członków naszego Oddziału. Ja natomiast zorganizowałam we Wrocławiu duże pudło lekarstw, za które pani doktor bardzo dziękowała pokazując puste półki w pokoju aptecznym. W tym zakresie potrzeby są ogromne. Prosiła nawet o lekarstwa na pograniczu ważności, gdyż tutaj zaraz będą zużyte. Również przekazałyśmy do biblioteki od Oddziału Tłumaczan na ręce polskiej nauczycielki z Wrocławia, a pracującej w Stanisławowie p. Szarapanowskiej 2 tomy książki pt. „Józef Piłsudski marzyciel i strateg” autorstwa Bogdana Urbankowskiego.

Następnie już wszyscy razem zwiedzaliśmy Stanisławów, tak bliski naszym sercom. Nocleg we Lwowie i powrót do kraju. Szkoda, że tak krótko, że tak przeszkadzał i dręczył nas deszcz. Większość wycieczkowiczów deklarowała spotkać się jeszcze raz na tej malowniczej, pełnej nostalgicznych i patriotycznych wrażeń trasie. Obie z Nusią też obiecałyśmy sobie wrócić tu raz jeszcze, ale z Wami drodzy Tłumaczanie! □

* Zdjęcia cerkiew będą w następnym ZT



Fot. D. Tabińska-Juhasz
Danka i Nusia, w tle twierdza Kamieńca Podolskiego.



Fot. D. Tabińska-Juhasz
Tarnopol – nad zalewem



Fot. D. Tabińska-Juhasz
Nusia patrzy w swoje okno



Fot. D. Tabińska-Juhasz
Odpoczynek w tłumackim parku

Z protokołów posiedzeń Zarządu

Jerzy Czyżycki

W październiku i listopadzie br. odbyły się 2 posiedzenia Zarządu. Tematem posiedzeń były jak zwykle sprawy bieżące m. in. zapoznanie się z nadesłaną korespondencją, komunikatami w kolejnym Biuletynie Zarządu Głównego TMLiKPW. Zarząd Oddziału przedyskutował projekty regulaminu działalności i instrukcję działalności finansowej, które zgodnie ze statutem winne uzyskać akceptację Zarządu Głównego. Dokumenty te po przedyskutowaniu zostały przesłane do ZG celem zatwierdzenia.

Dużo miejsca poświęcono zagadnieniom związanym z wydawaniem Zeszytów Tłumackich. Zdaniem Zarządu należy uczynić wszystko, co w naszej mocy, by utrzymać edycję Zeszytów tak jak dotąd. Czas pokaże, czy Redakcja podoła temu zadaniu. Zarząd jest przekonany, że przy współudziale wszystkich Tłumaczan, do których apelujemy o nadsyłanie swoich wspomnień, Redakcji uda się realizować wydawanie „ZT” w roku 1999. Omówiono też sprawę organizacji tradycyjnego „Oplatka” i kolejnego zimowego spotkania Tłumaczan we Wrocławiu.

Listy

Szanowna Redakcjo ZT

Zwracam się do Państwa z uprzejmą prośbą. Otóż po Rodzicach odziedziczyłem następującą książkę: Medyński Aleksander, Księga pamiątkowa Podolskiego Sokolstwa, Tarnopol 1911 (załączam ksero strony tytułowej), a w rzeczywistości tylko pierwsze 33 strony. Poszukuję egzemplarza, z którego można by zrobić dobre ksero i uzupełnić brakujące strony.

Tu jednak zaczyna się problem. Jestem pracownikiem Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu i w naszych zbiorach wspomnianej pozycji nie ma. Co gorsze, żadna z bibliotek w kraju również jej nie posiada (wysłane przez Wypożyczalnię Biblioteczną BU rewersy wróciły z odmową: z Biblioteki Narodowej, Biblioteki Jagiellońskiej, Biblioteki Uniwer. w Warszawie i Wrocławiu, Ossolineum, Biblioteki UMCS).

Może poprzez Panią uda mi się zdobyć poszukiwaną książkę i uzupełnić brakujące strony. W Pani moja nadzieja!

Licząc na pomoc, przesyłam wyrazy poważania

*mgr Jan Aleksyński, ul. Osinowa 8b m. 10,
61-451 Poznań*

*Usilnie prosimy naszych Czytelników o spełnienie w/w prośby
p. Jana Aleksyńskiego.*

Redakcja



ALEKSANDER
MEDYŃSKI

== KSIĘGA ==
PAMIĄTKOWA
== PODOLSKIEGO
SOKOLSTWA



TARNOPOL 1911
NARODOWE SOKOLSTWO
Drukarnia Wrocławska

Szanowna Redakcjo!

W nawiązaniu do tekstu ks. Jeżowskiego „Wieś Pohonia zwana” zamieszczonym w „ZT” Nr 3/11/98 pragnę poinformować, że cerkiew w Pohonii istnieje już pięć lat, miałem możliwość oglądania jej w lipcu 1994 r. Wtedy też zrobiłem zdjęcie, które przesyłam.

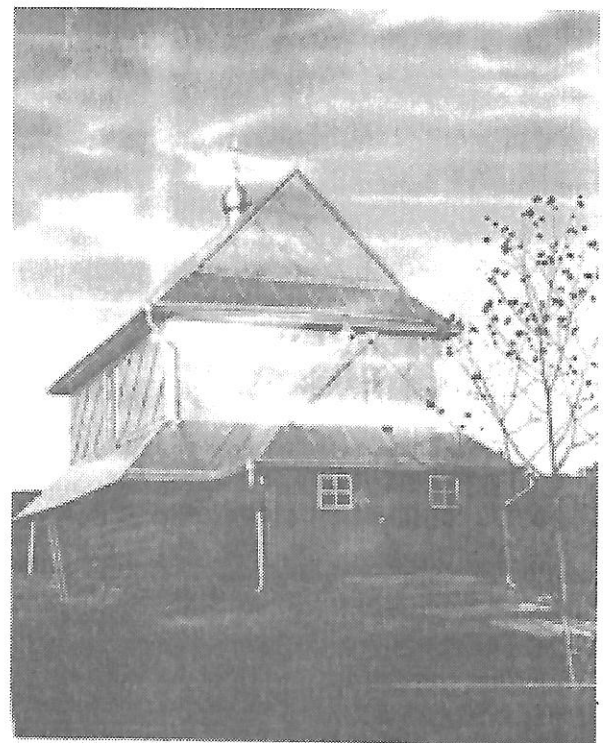
Cerkiew jest drewniana, kryta blachą. Nie była jednak budowana od nowa, skorzystano bowiem z tego, że gdzieś w Karpatach zdemontowano cerkiew, więc jej elementy przewieziono do Pohonii i ustawiono na wzgórzu otoczonym półkolem zalesionymi wzgórzami.

Niestety, kiedy tam byłem (późne popołudnie) cerkiew była zamknięta, nie mogę więc odpowiedzieć na pytanie, czy znajduje się tam obraz pohońskiej Matki Bożej, o którym wspomina ks. Jeżowski. Mam co do tego poważne wątpliwości, ale próbę zdobycia takiej informacji na pewno podejmę.

Łączę pozdrowienia

Tadeusz Pelikan

PS. Przy tej okazji pragnę podziękować Paniom A. Panachidzie-Bocheńskiej i D. Tabińskiej-Juhasz za wyjaśnienie sprawy napisu na pomniku w Tłumaczu. Wiadomo było z góry, że napis o treści, jaką wymarzył sobie p. Andrzej Gabański na tamtych pomnikach znaleźć się nie może. Szkoda tylko, że p. Gabański sam nie zdobył się na takie sprostowanie, o co apelowałem na łamach „ZT” Nr 4/8/97.



Kochani!

Korzystając z okazji zasylam całej Redakcji moje najlepsze życzenia zdrowia i pomyślnego kontynuowania tak owocnej i potrzebnej pracy, jaką jest wydawanie "Zeszytów Tłumackich". Moi kochani pomyślcie, że robicie to dla historii. Bez Waszego wysiłku wiele pięknych wspomnień ule-

gnie zapomnieniu, a dzieci i wnuki Wasze nie będą nic wiedziały o naszym kochanym Tłumaczu.

Jesteście jedynymi świadkami historii i Waszym obowiązkiem jest przekazać ją następnym pokoleniom, czego życzę Wam

H. Wilczewski

Zawiadomienia

Serdecznie zapraszamy, jak co roku, na tradycyjny opłatek Tłumaczan, który odbędzie się w dniu 16 stycznia 1999 roku o godz. 13-tej w Szkole Pielęgniarskiej przy ul. Mikolajaja (blisko Rynku). Do miłego zobaczenia

Zarząd

Lista Ofiarodawców w IV kw. 98

Wanda Fedorowicz – Filadelfia
Serdecznie dziękujemy

35 zł

† Odeszli

Śp. Tłumaczanie:

Anna Piskozub z d. Kierkowska

Tadeusz Dublewicz – brat ks. Leszka Dublewicza

Rodzinom zmarłych składamy wyrazy głębokiego współczucia

Krajanie – Tłumaczanie

Nasz słowniczek (c.d.)

Opracowała Helena Bilińska

szczęznąć – zgubić się, przepaść
skisły – skwaśniały
smarowóz – brudas
specyfinder – brudas
stopka – bezpiecznik inst. elektrycznej
studzienina – galareta z mięsa
syromudry – przemądrzały
szandaławy – zabiedzony, zniszczony
szantrapa – kobieta niemoralna, złośliwa
szaragi – wieszak z kołkami
szlompa – kobieta niechlujna
szmajgełes – przezwisko Żyda
sznurówka – sznurowadło
sznycel – kotlet
szpanegle – pinezki
szpanować – oszczędzać
szportać się – połykać się
szturkać – trącać
szturpak – o dziewczynie nierozgarniętej
sztytować – zgadzać się
szuber – zasuwka do kanału kominowego
szwarc – czarna pasta do butów
szwendać się – chodzić bez celu
szwicować – ciężko pracować
szwimki – męskie spodenki kąpielowe
świrk – wariat
tałapać się – pluskać się
tarabanić się – gramolić się
telepać się – trząść się
trugać się – dźwigać się
tuman – człowiek głupi
uzdrojowisko – uzdrowisko

wcinać – jeść

wtrynić – zmusić kogoś do przyjęcia czegoś

zabezduro – bezpłatnie

za frajer – za darmo

za pazuchę – w zanadrze

za pod rękę – pod ręką

zabudźko – zapominalski

zagudzać – zasuplać

zakryszka – jarzyna do zupy

załamacha – mieszanina, papka

zapraszka – zasmażka

zarekawkę – mufka

zasztempić się – zawstydzić się

zdybać – spotkać

zulc – zimne mięso w galarecie

zwurdzić się – (o mleku) ścięte podczas gotowania

Tadeusz Pelikan

Szanowna Redakcjo!

Chcąc wzbogacić nieco „Nasz słowniczek” przesyłam moje „trzy grosze”. Te wyrazy używano w mojej rodzinnej Tyśmienicy i jej okolicach. I tak:

biga – kilof

bodiaki – osty

bunda – kozuch

bzina – dziki bez

chabazie – chwasty

harnadle – spinki do włosów

karmenadle – kotlety schabowe

kałabania – bajoro

kucza – buda

rampa – szlaban

ryskal – szpadel

szaragi – wieszak

szczybać – strącać owoce z drzew

sztolwerki – irysy

Jeszcze tylko mała uwaga. Nie jestem zwolennikiem budowania „Naszego słowniczka” na podstawie pracy Zofii Kurzowej, jest to nadmierne uproszczenie sobie sprawy. Czy nie byłoby lepiej (i ciekawiej) zwrócić się z tym do czytelników „Zeszytów Tłumackich”?

Ponownie zwracamy się – piszcie o naszych słówkach i powiedzonkach, niech one nie zaginą wraz z nami.

Redakcja

Domy przy ul. Słowackiego w Tumaczu



Fot. D. Tabińska-Juhasz
Burczyńskich – mieszkała Cesia Mandyna



Fot. D. Tabińska-Juhasz
Fajerów – mieszkały Tabińskie



Fot. D. Tabińska-Juhasz
Mytników – mieszkała Luka Bilińska



Fot. D. Tabińska-Juhasz
Kociuszkowej – mieszkały Tabińskie przed wojną

RZECZPOSPOLITA POLSKA

(podział administracyjny na dzień 1.IV.1939)

